WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 34 (307)
ROK VII
20 sierpnia 1967 r.

Czesław Michalski

W WALCE O WIDOWNIĘ

SPADEK FREKWENCJI w naszych kinach obserwujemy od dawna. W roku 1965 liczba widzów zmniejszyła się o trzy procent, w roku ubiegłym — o pięć w stosunku do analogicznych okresów poprzednich. Dotychczasowe dane z roku bieżącego wskazują, że frekwencja zmniejszy się o dalsze trzy do pięciu procent. Jest to zjawisko typowe dla wielu krajów i nasza Centrala Wynajmu Filmów zbytnio się nim nie przejmuje, tym bardziej że suma rocznych wpływów ze sprzedaży biletów kinowych bynajmniej nie jest mniejsza niż w latach poprzednich. Zręcznie z punktu widzenia kasy skonstruowany repertuar, w którym coraz więcej barwnych filmów panoramicznych (wyższe ceny biletów), wyrównuje niedobór finansowy, spowodowany odpływem widzów urzeczonych telewizją.

Niepokojąca jest wszelako inna sprawa, związana ze spadkiem frekwencji w naszych kinach. Spadek ten zaznacza się szczególnie dotkliwie w odniesieniu do filmów produkcji krajowej. Wprawdzie w ub. roku wśród dwudziestu filmów, które cieszyły się największym powodzeniem, były trzy polskie (ciągle jeszcze wyświetlani „Krzyżacy", „Faraon", „Marysia i Napoleon"), ale wszystkie niemal pozostałe nie znalazły uznania w oczach publiczności.

POSZUKIWANIE SZANSY

Czy ogólny poziom polskiej produkcji jest rzeczywiście tak niski, że krajowy film odstrasza widza? Porównanie z dorobkiem innych kinematografii bynajmniej nie uzasadnia takiego pesymizmu. Ale zagraniczne pozycje, szczególnie filmy zachodnie, są dobierane niezwykle troskliwie i tylko najlepsze przedostają się na ekrany przez gęste sito komisji kwalifikacyjnej, działającej jako organ doradczy dyrektora Centrali Wynajmu Filmów.

Słuszna przecież polityka repertuarowa, której założeniem jest dobór jedynie najwartościowszych filmów, godzi w jakiś sposób w interesy polskiego filmu. O ile bowiem wybitne polskie dzieła łatwo wytrzymują konkurencję tych zagranicznych znakomitości, o tyle tzw. produkcja średniego poziomu, nie wspominając już o filmach warsztatowo słabszych, skazana jest z góry na porażkę w walce o widza. Oczywiście absurdem byłoby żądanie zmniejszenia importu dobrych filmów na rzecz tandety, by tym sposobem zapewnić widownię przeciętnemu polskiemu filmowi. Ale należałoby dać polskiemu filmowi pewną szansę w tej nierównej walce. Chodzi po prostu o nowoczesną reklamę, bez której nie ma dziś nigdzie na świecie dystrybucji. O tej reklamie nikt dotychczas poważnie nie pomyślał.

Filmy zagraniczne, które wchodzą do naszego repertuaru, mają zawsze dobrą reklamę, nawiasem mówiąc — bez żadnej zasługi dystrybutora. Ponieważ są to zazwyczaj dzieła z tych czy innych względów głośne, wyświetlane najczęściej na międzynarodowych festiwalach — publiczność zna doskonale ich tytuły, zna ich treść i problematykę z festiwalowych korespondencji, zna nazwiska reżyserów i aktorów, zna wreszcie opinie światowej krytyki, niezliczone ciekawostki z realizacji, niekiedy towarzyszące jej skandaliki itp. Widz jest zainteresowany takim filmem, czeka nań z niecierpliwością.

W budżetach produkcji filmów zagranicznych są wysokie sumy przeznaczone na wstępną reklamę, która działa na długo przed rozpoczęciem eksploatacji. Sumy te nierzadko wynoszą dziesięć procent ogólnych kosztów produkcji, co pozwala na podejmowanie efektownych, na szeroką skalę zakrojonych akcji reklamowych. W naszej prasie można znaleźć ciekawostki z realizacji filmów francuskich, włoskich i amerykańskich, ale nie polskich. Trudno oczywiście winić o to prasę. Obmyślanie kampanii reklamowych dla polskich filmów to nie jej sprawa. To sprawa zespołów realizatorów filmowych, które powinny prasę zarzucać tego rodzaju materiałami.

RECENZENT I WIDZOWIE

Nic nie ujmując takim filmom, jak „Krzyżacy" czy „Faraon" — można jednak powiedzieć, że swe sukcesy zawdzięczały one w dużej mierze popularności literackich pierwowzorów, co w tym przypadku było znakomitą reklamą dla tych filmów. Dyskusje, które wywiązały się w prasie wokół interpretacji „Popiołów" przez Andrzeja Wajdę, również nie najgorzej odegrały podobną rolę. Tego rodzaju reklama zapewniłaby owym filmom szeroką widownię, nawet gdyby reprezentowały one niższy poziom, nawet gdyby miały niepochlebne recenzje.

Niektórzy demonizują rolę krytyki i w napastliwych recenzjach widzą przyczynę spadku frekwencji na polskich filmach. Zbyt wiele znamy przykładów, kiedy entuzjastyczna wprost recenzja nie przysporzyła bynajmniej frekwencji, by tego rodzaju sugestie traktować poważnie, i zbyt wiele znamy też przykładów, kiedy druzgocące nawet recenzje nie odstraszyły wcale publiczności od filmu. Znacznie trudniej byłoby natomiast znaleźć przykład klasowej porażki inteligentnie reklamowanego filmu. Jak wykazały niezliczone ankiety — bardzo niewiele osób kieruje się w wyborze filmu opinią recenzenta. Decyduje tu w stopniu bez porównania większym atmosfera zainteresowania wokół filmu, stworzona przez wcześniejszą reklamę.

W dyskusjach na temat naszej kinematografii pada wiele zbawiennych rad, które mają polskim filmom zapewnić frekwencję. Nikt jednakże nie pomyślał poważnie o tym, aby jako tako wyrównać ich szansę w konkurencyjnej walce o widza z produkcją zagraniczną.

NIE LICZMY NA CUDA

Ale reklama, na którą nie wiadomo dlaczego skąpi się u nas grosza, to jeszcze nie wszystko. Trzeba także stworzyć taki klimat, w którym nie mogłaby działać antyreklama. Od czasu do czasu zjawia się polski film na poziomie — co tu ukrywać — żenującym, absolutna kompromitacja. Wyświetlany jest zazwyczaj krótko i to przy pustej widowni, lecz nie na tym jeszcze polega całe nieszczęście, tylko na atmosferze, jaką wytwarza on dla kilku dalszych filmów produkcji krajowej, które w tych warunkach mają od samego początku poważnie zmniejszone szanse zdobycia widza. W szeroko pojętym interesie naszej kinematografii leżałoby właściwie niedopuszczenie takiego nieudanego filmu do ekranów. Produkcja jednak kosztowała parę milionów i obowiązkiem producenta jest próba odzyskania choć części wydawanych pieniędzy.

Sprawa byłaby zrozumiała, gdyby chodziło tu o jakieś sporadyczne wypadki. Wiadomo jednak powszechnie, że kilku reżyserów nie wykazało się dostatecznym opanowaniem rzemiosła i że te filmy-potworki wychodzą zazwyczaj spod ich ręki. Zbyt daleko posunięta tolerancja w stosunku do nich, zbytnia wielkoduszność i uparte liczenie na cud — mszczą się później na innych. Niejeden zapewne na średnim poziomie zrealizowany film miałby lepszą frekwencję, gdyby nie poprzedzał go w repertuarze film żenujący, nieudolnie zrobiony, który zniechęcił wiele osób do polskiej produkcji w ogóle, który stał się jej antyreklamą.

Były wprawdzie czasy, kiedy każdy lub prawie każdy polski film uchodził za wydarzenie w skali krajowej, ale to bezpowrotnie miniona przeszłość. Dziś polskie filmy mają groźnego konkurenta nie tylko w produkcji zagranicznej i nie tylko w telewizji. Rywalizują również między sobą, jako że średnio co miesiąc zjawiają się dwie nowe pozycje i że w bieżącym repertuarze naszych kin nierzadko jest kilka polskich nowości jednocześnie. Z tym wiąże się sprawa polityki repertuarowej, metod rozpowszechniania polskich filmów. Sprawa ta wydaje się dojrzała do jakiejś poważniejszej reformy. Z pewnością bowiem komercjalizacja naszych kin została zbyt daleko posunięta i wadliwie został opracowany system tzw. bodźców ekonomicznych, który również w jakiś sposób godzi w polskie filmy, szczególnie w ambitne pozycje.

Trzeba się oczywiście liczyć z faktem dalszego spadku frekwencji w kinach, ale zjawisko to niekoniecznie musi zbyt dotkliwie występować w stosunku do produkcji krajowej. Nasi twórcy istotnie znajdują się w wyjątkowo trudnej sytuacji w walce o widownię, lecz nie jest to bynajmniej walka beznadziejna. Ale sprawa wymaga poważnego zastanowienia się nad nowymi, nowoczesnymi sposobami popularyzacji i dystrybucji polskiego filmu.

Aleksander Żyga

Poezja historycznych pamiątek

Pod pojęciem pejzażu w sztuce i literaturze rozumiemy zazwyczaj odtwarzany w nich otaczający człowieka krajobraz. Na tak pojęty pejzaż składają się nie tylko naturalne ukształtowanie rzeźby terenu z jego przyrodą, ale i, zwłaszcza w czasach nowożytnych, dzieła stworzone przez człowieka, jak architektura i budownictwo, które aby nie zepsuć stworzonego przez naturę krajobrazu muszą z nim harmonizować i tworzyć pewną całość estetyczną.

Jak istnieje poezja pejzażu naturalnego, poezja krajobrazu i widoków natury, które od wieków stanowiły źródło wzruszeń artystycznych, zależnych w swej formie od kierunków i gustów estetycznych epoki, tak od czasów pojawienia się w krajobrazie dzieł ręki ludzkiej stworzona została poezja pejzażu będącego dziełem człowieka, poezja budownictwa, poezja miasta. Za jej początek uznać należy przede wszystkim utwory o rycerskich zamkach obronnych i ich ruinach, które zestrojone i harmonizujące z kształtami naturalnego krajobrazu, od czasów romantyzmu stały się źródłem inspiracji twórczej artystów i pisarzy. Wizualny charakter tych dzieł ręki ludzkiej swymi architektonicznymi kształtami apelował szczególnie do rysowników, w mniejszym zakresie do wyobraźni poetów. Urocze pamiątki historyczne prowokowały niejednokrotnie do wyrażenia swych uczuć patriotycznych w sensie miłości kraju ojczystego i jego historii. Łączyło się to z podkreślaniem chwalebnych tradycji w dziejach narodu, bohaterskich jego walk i czynów. Jeżeli poezję naturalnego pejzażu można by określić poezją poziomego i zewnętrznego ukształtowania krajobrazu, to poezję historycznych pamiątek (także do tego krajobrazu należących) można by nazwać sztuką jego pionowego ukształtowania. Sztuką pionowego ukształtowania w tym sensie, że owe pamiątki i ślady przeszłości już przez swój zewnętrzny wygląd i kształt zmuszają do rozważań historycznych, do sięgania w głąb ich dziejów. W ten sposób owe ruiny zamków, pałace arystokratyczne stają się świadkami działania i czynów wielkich osobistości historycznych.

Takich pamiątek historycznych nie brak i w granicach obecnego województwa rzeszowskiego; od dawna zwracały uwagę polskich i zagranicznych podróżników i turystów. Stanowią w pewnym stopniu „żywe" świadectwo dziejów regionu. Z historią owych zamków wiążą się dzieje wielkich postaci historycznych i ich walk z wrogiem w obronie ojczyzny: obok zagonów tatarskich były to napady kozaków, walki ze Szwedami i księciem siedmiogrodzkim Rakoczym, boje konfederatów barskich z Rosjanami. Okazuje się, że tutejsze zamki, pałace, kurhany i okopy noszą na sobie potężny bagaż historii: z jednej strony były one świadkami chwały oręża polskiego, z drugiej — jego tragedii dziejowych, które doprowadzały kraj do utraty bytu państwowego. Nie dziwne też, że ktokolwiek zetknął się bliżej z tymi świadkami historii regionu, nie mógł pominąć i emanujących z nich dziejów. Wszystkimi tymi cechami odznacza się i „poezja" owych pamiątek dziejowych.

Początki tej poezji upatrywać trzeba w panegirycznej i autopanegirycznej twórczości członków arystokratycznych rodów magnackich, sławiącej czyny swych przodków oraz w otoczonej ich mecenatem kulturalnym poezji twórców dworskich, usiłujących w niej podkreślić zasługi swych chlebodawców. Sławę ich starało się utrwalić w Galicji grono wierszopisów, podróżników i krajoznawców w rodzaju heraldyka Ludwika Zielińskiego oraz malarza Stęczyńskiego, którzy do zamieszczanych w dziewiętnastowiecznych pismach reprodukcji pamiątek galicyjskich dodawali wierszowane komentarze nawiązujące do dziejów reprodukowanych miejscowości. Pierwsze wiersze o pamiątkach historycznych Rzeszowszczyzny nie stanowią zatem autonomicznych utworów, lecz wierszowane komentarze do ich podobizn jak np. w „Okolicach Galicji" Stęczyńskiego.

Pragnąc na kilku przykładach zademonstrować próbki tak pojętego wierszopisarstwa regionu, ograniczyć się trzeba do utworów opiewających zamki podkarpackiego Pogórza, słowem terenów objętych Bieszczadami, na boku pozostaną więc zamki i pałace opiewane niejednokrotnie w poezji: w Dzikowie, Baranowie, Łańcucie, Przemyślu i in. Z dosyć bogatego zasobu utworów przytoczymy i omówimy wiersze o tych, których widok najwięcej śladów pozostawił w poezji.

Najbardziej popularnym i modnym w podróżach i poezji XIX wieku na

„PRZYJACIELE"

Fot. JANUSZ MENDYCHOWSKI

15 lat w służbie NAUCZYCIELI

W roku obecnym mija piętnaście lat od powołania w kraju i w naszym województwie do życia i pracy pedagogicznych bibliotek powiatowych.

Zadaniem tych bibliotek było służenie pomocą nauczycielom i innym pracownikom oświatowym poszczególnych powiatów w kształceniu i doskonaleniu się zawodowym, w rozszerzaniu i pogłębianiu wiedzy w dziedzinach związanych z oświatą i wychowaniem, w zaspokajaniu potrzeb czytelniczych w zakresie literatury pięknej i literatury poruszającej problemy życia społecznego.

Pedagogiczne biblioteki powiatowe rozwijały się w minionym piętnastoleciu systematycznie, zwiększały swe księgozbiory, liczby czytelników i wpożyczeń, rozwijały formy i metody pracy. Do roku 1959 pracowały one jako filie Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Rzeszowie, która uzupełniała ich księgozbiory, prenumerowała dla nich czasopisma i pokrywała ze swego budżetu wszystkie inne wydatki łącznie z wynagrodzeniem pracowników. Od 8 lat datuje się ich rozwój jako samodzielnych placówek powiatowych wydziałów oświaty.

Jako specjalne, fachowe biblioteki są one prowadzone przez doświadczonych nauczycieli z dodatkowymi kwalifikacjami bibliotekarskimi. Przeważa w nich obsada jednoosobowa.

Zgodnie ze swymi zadaniami biblioteki te gromadzą książki i czasopisma z zakresu pedagogiki i nauk pokrewnych, wydawnictwa naukowe i popularnonaukowe z różnych dziedzin wiedzy ze szczególnym uwzględnieniem wydawnictw stanowiących lekturę podstawową i uzupełniającą dla nauczycieli studiujących, literaturę społeczno - polityczną, wydawnictwa ogólnoinformacyjne (encyklopedie, słowniki, bibliografie) oraz książki z zakresu bibliotekarstwa i metod pracy z czytelnikiem. Z beletrystyki nabywają one tylko dzieła klasyków polskich i obcych, pozycje objęte spisem lektury podstawowej i uzupełniającej oraz książki poruszające problemy życia społecznego.

Po piętnastu latach swej pracy zdołały one zgromadzić w swych zbiorach stosunkowo dość dużo książek. Wielkość ich księgozbiorów waha się w granicach od 5.000 do 18 000 woluminów. Ogółem w 21 pedagogicznych bibliotekach powiatowych, do dyspozycji czytelników nauczycieli znajduje się 220 000 woluminów.

Ze swymi zbiorami pedagogiczne biblioteki powiatowe województwa rzeszowskiego wysunęły się na czołowe miejsce w kraju. Świadczy to o dużej trosce rad narodowych i ich wydziałów oświaty o właściwe przygotowanie i podnoszenie kwalifikacji ogólnych i zawodowych pracowników oświaty.

Obok systematycznego uzupełniania zbiorów książkowych wszystkie biblioteki pedagogiczne prenumerują od chwili swego powstania szereg czasopism, w tym wszystkie zawodowe, nauczycielskie. Liczba prenumerowanych czasopism waha się w poszczególnych placówkach od 32 do 110.

Podobnie jak księgozbiory tak samo i liczba czytelników tych bibliotek rośnie z każdym dniem. Na koniec roku 1966 objęły one czytelnictwem swych książek ogółem 9 863 czytelników, którymi są głównie nauczyciele i wychowawcy. Wśród czytelników dość duży procent stanowią nauczyciele studiujący (do 35 proc. ogółu czytelników w niektórych powiatach).

Pedagogiczne biblioteki powiatowe w naszym województwie uzyskują od kilku lat średnio 12—13 wypożyczeń na jednego czytelnika w roku. Jest to dość dużo, gdy się weźmie pod uwagę to, że wypożyczenia te dotyczą głównie literatury fachowej i naukowej z różnych dziedzin wiedzy. Biblioteki naukowe osiągają pod tym względem wyniki o połowę mniejsze.

Do osiągania stosunkowo dużych wyników przyczynia się ofiarna praca pracowników tych bibliotek oraz tosowane przez nich obok metod typowych dla wszystkich bibliotek także formy i metody własne. Wśród nich na uwagę zasługują wyjazdy kierowników tych bibliotek na konferencje i wszelkiego rodzaju narady nauczycielskie w powiatach, informowanie na nich uczestników o nowych książkach i nabytkach dla biblioteki, recenzowanie niektórych z nich, wypożyczanie przywiezionych z sobą książek i przyjmowanie zamówień na książki do wysyłki pocztą. W swej pracy nad rozwojem czytelnictwa nauczycieli pedagogiczne biblioteki powiatowe znajdują sojuszników w powiatowych ośrodkach metodycznych i wydziałach pedagogicznych Związku Nauczycielstwa Polskiego, z którymi współpracują na co dzień, zwłaszcza w okresie organizowania konferencji nauczycielskich.

Dorobek tych bibliotek jest niewątpliwie duży, niemniej jednak nie brak i niedociągnięć. Do ważniejszych z nich należą: ciasne i niewystarczające lokale w większości powiatów, mała ilość personelu, niedostatecznie jeszcze rozwinięte wypożyczenia korespondencyjne i inne. Usunięcie tych braków da możność pracownikom bibliotek osiągnięcia w najbliższych latach jeszcze lepszych wyników, które wyrażą się obok innych w objęciu czytelnictwem 100 proc. nauczycieli i wychowawców, a tym samym w lepszym przygotowaniu ich do realizacji programów nauczania i wychowania w reformowanych szkołach.

FRANCISZEK ŚWIDER

HENRYK KAWIORSKI

„Big-beat"

— Dobre piwo powinno być jak dobra kobieta — powiedział Michał. Ale nie zdążył wyjaśnić, na czym to zasadnicze podobieństwo miało polegać.

Po tych słowach odezwała się orkiestra, złożona z zarzeczańskich grajków. Pięknie śmigały skrzypce. Dźwięcznie ciągnął akordeon. Głucho uderzały w skórę bębna ubrane na zielono pałeczki. Ale najwięcej melodii kryły w sobie basy. Basista włożył smyk do otworu w sążnistej podstawce i szarpał struny gołymi palcami. Były to pierwszorzędne basy. Wyschnięte, jak szczapa, ale jednocześnie krzepkie i krępe. Wydawały powłóczysty i miękki ton, słodki niczym chleb z miodem. W basach kryła się jednak i potęga. Można ją było dobyć ze środka, szarpiąc grubo plecione, baranie kiszki. Basy huczały wtedy, jak marcowy, na wpół roztopiony San.

Michał nie opuścił żadnej zabawy, ani w swojej wsi, ani w sąsiednich. Znała go cała okolica. Znały wszystkie chłopaki z Zarzecza, z Pysznicy, z Majdanu i co poniektórzy z Niska, powiatowego, małego miasta. W Nisku odpokutował nawet swój fason.

Była zabawa. Upatrzył sobie dziewczynę w ładnej sukience. Poprosił ją do tańca. Nie umiał tańczyć nowoczesnych szybkich rytmów, więc objął partnerkę wpół, zatrzymał się przed gitarowym trio i kazał się im uciszyć. — Muzyka stać — powiedział. Zaśpiewał: „Chłopaki, czyśta mnie nie poznały, żeśta mi sztajerka nie zagrały". Następnie tupnął w parkiet i puścił się w tany, sądząc, że big-beatowcy pójdą za nim. Lecz na sali balowej panowała cisza. Okręcił dziewczynę z sześć razy, dla fasonu, i zatrzymał się, patrząc bykiem wokół. Z ciszy, jaka zapadła wśród dziewcząt w szpileczkach i młodzianów z czuprynami do pół pleców, wynurzył się rudy dryblas o brzydkiej i nakrapianej cerze.

— Ktoś ty — rzekł. Głos brzmiał chropawo, nieprzyjemnie. Ciągnęło od rudzielca kiepskim winem. Pytałeś się kogo, że takie brednie śpiewasz?

— Moja rzecz, co śpiewam — powiedział Michał.

— A jakbyś ty dostał w mordę?

— A od kogo?

— A ode mnie.

— Ręka by ci uschła. Mnie chciałbyć uderzyć?

Dryblas kopnął go znienacka szpicem buta między nogi. Michał pochwycił w locie owego buta i targnął nim ku sobie. Cętkowany rudzielec poleciał na plecy jak wór. Wyciągnął na froterowanym parkiecie takiego orła, aż miło. Aż mu coś jęknęło we „wnątrzu". Leżał rozrzuciwszy ręce i nogi, usiłując przekręcić się na bok. Michałowi został w dłoni szpiczasty półbut. Począł oglądać go z wielkim zaciekawieniem.

Z kąta, zza stolika pełnego butelek z oranżady i szklanek po czarnej kawie, ruszyło się trzech przyjaciół poszkodowanego draba. Nosili nazwiska: Kuraśko, Tojo Samiec i Andrzej Rozmaryński. Zbliżyli się ku Michałowi. Kuraśko i Tojo z boków, jak to praktykowali nieraz w cieniu drzew niżańskiego parku. Rozmaryński zachodził łukiem od tyłu. Skradał się niczym kocur przechera. To było coś, bitka na zabawie. Wszystkie spojrzenia obróciły się w ich kierunku.

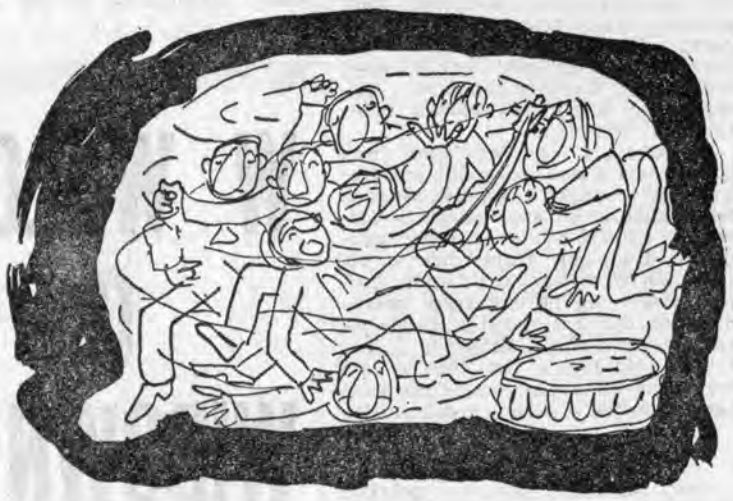

RYS. JERZY SIENKIEWICZ

Dryblas wymierzył niespodziewany cios, prowadząc go twardym hakiem z dołu prosto w zęby przeciwnika. Trenował boks w niżańskim klubie. Na ringu, jak dotychczas, nie okazał się żadnymi sukcesami. Przegrywał z każdym silniejszym od siebie. Walczył bez ambicji i honoru, dlatego musiał przegrywać. Celował natomiast w podwórzowych rozrachunkach i karczemnych bijatykach. Jego obecny cios zdolny był powalić, mimo wszystko samego byka. Ale nie Michała. Ku zdumieniu zgromadzonej publiczności rudzielec nie trafił. Mało tego. Dryblas poczuł nagle na przegubie prawej ręki zaciskające się, stalowe kleszcze. Szarpnięciem w stronę kciuka Michałowej dłoni pragnął wyzwolić się z tych zębatych cęgów. Michał wykręcił mu łokieć, aż kość chrupnęła.

— Tyś mnie chciał uderzyć? Chmyzie, piegaty jeden?

— Ja.

Michał oddawał teren krok za krokiem. Przywarł wreszcie plecami do podium, na którym siedziało gitarowe trio i towarzyszący gitarowcom perkusista. Skrzący się but, zdjęty rudemu, wystawił do przodu, jak bagnet.

Chwilę spokoju wykorzystał ów perkusista. Złożył obie pałeczki w jedną całość i grzmotnął nimi Michała w głowę. Michałowi zagrało w niej graniem tysiąca ulubionych basów. Przysiadł z wrażenia na krawędzi podium. W mgnieniu oka rzucili się na niego — Kuraśko, Tojo Samiec i Andrzejek Rozmaryński. Przygnietli go do desek, przytłamsili swoim ciężarem.

Michałowi pociemniało w oczach z nienawiści do rudego zawalidrogi, do bandy jego pomocników i do przeklętego, mocnego uderzenia.

W uszach wciąż huczały mu świetne basy zarzeczańskiego grajka.

Niedługo koncert muzyki organowej

Po długotrwałej konserwacji słynnych organów w Bazylice leżajskiej, zostaną one już w najbliższych dniach udostępnione dla koncertów muzyki świeckiej. Wzorem koncertów organowych w Oliwie, Biuro Zarządu Oddziału PTTK w Leżajsku chce podobne zorganizować w naszym rejonie, uświetniając tym samym program licznych wycieczek do zabytkowej Bazyliki.

Uroczysta inauguracja nastąpi 9 września br. o godz. 17.00. W programie koncert prof. Józefa Chwedczuka, kierownika Międzyuczelnianej Katedry Organów, dziekana Wydz. Instrumentalnego PWSM w Krakowie.

Duże zainteresowanie tą imprezą nasuwa uwagę, czy PTTK nie mogłoby dołożyć starań, aby zorganizować wycieczki, umożliwiające wysłuchanie koncertu szerszym kręgom społecznym.

Edward Wisz

PRZYJECHAŁ WUJEK Z AMERYKI

Wujek przyjechał w czwartek. Przyleciał do Polski w skwarne, czerwcowe południe srebrzystym Boenigiem Air Canada z dalekiego Chicago via Londyn, Paryż i Berlin. Wychodząc na Okęciu z samolotu, dostrzegł w tłumie zebranym za żelaznym ogrodzeniem, oddzielającym płytę lotniska od wyjścia, siostrzenice i siostrzeńca. Zauważyli go, odpowiadając na powitanie machaniem chusteczek.

A więc jest już w kraju. Jak dotąd, trzymał się twardo, choć wokół siebie widział łzy w oczach przybyłych rodaków.

Przypomniał sobie swój wyjazd z Polski.

Zaraz... zaraz... kiedy to było... Ma dziś 71 lat. Wtedy wyszedł niedawno z wojska. Chyba pomylił się jednak o kilka lat. Przecież jeszcze przez dłuższy czas bezskutecznie wyczekiwał przed bramami fabryk i folwarków za pracą. Zresztą — nie tylko on jeden.

W domu było wszystkich dwanaścioro. Ojciec, matka oraz dziesięcioro rodzeństwa. Ojczyzna nie okazała się dla nich łaskawa i wypędzała ich po kolei z zawiniątkiem i butami na kiju.

Najpierw wyjechał najstarszy brat, Paweł. Pisał potem, że udało się mu dostać do rzeźni. Praca mordercza, ale zarobić można. Paweł ściągnął do Stanów Marię. Ta natomiast Franciszka, Franciszek Antoniego, a Antoni jego, Wojciecha.

Gdy przyszło od brata zawiadomienie, że przyjmują do pracy na farmy, Wojciech wsiadł na okręt, by po dwóch tygodniach wylądować w Nowym Jorku.

Na miejscu okazało się, że i na farmę dostać się trudno. Kryzys jeszcze trwał i tysiące bezrobotnych wystawało od samego rana przed urzędami zatrudnienia. W kilku miastach doszło na tym tle do rozruchów ulicznych. Zgłodniały tłum rozbijał wystawy sklepowe i magazyny żywnościowe. Zamieszkał chwilowo u siostry, która na szczęście jeszcze pracowała, utrzymując ze skromnej pensji i siebie i jego.

Wałęsał się po ulicach, wystawał przed dworcami kolejowymi, hotelami. Czasem udało się mu odnieść komuś walizkę albo wyładować na stacji towary.

Kiedyś od znajomego Polaka dowiedział się, że jedna ze spółek werbuje ludzi do wyrębu drzewa na Alasce. Wprawdzie drwalem nigdy nie był, ale czego się nie robi, kiedy żołądek głodny, a w kieszeniach pustawo. Zgłosił się więc do biura werbunkowego, by usłyszeć, że swoich ludzi mają dosyć i obcokrajowców nie przyjmują.

Obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie. Przez 5 miesięcy pracuje na farmie u kuzyna. Zresztą — co to była za farma. Parę zagonów z papryką, sad. Kuzyn potrzebował jednak pomocnika. Kupił jakiś zdezelowany traktor, cyrkularkę i jeździł do okolicznych farmerów rżnąć drzewo na opał. Wiodło mu się nie najgorzej. Wojciech jednak stamtąd zwiał, bo marzył o wielkim zarobku, podczas gdy u kuzyna pracował tylko za jedzenie.

Potem była farma w pobliżu miejscowości Saint Joseph. Właściciel farmy, Włoch, od razu się zastrzegł, że przyjmuje go do pracy pod dwoma warunkami: nie będzie należał do żadnego związku zawodowego, a na okres zimy musi poszukać sobie innej roboty.

Pracował na farmie od 6 rano do 6 wieczór, z godzinną przerwą na obiad. Ryży nadzorca, Niemiec, z zegarkiem w ręku pilnował, aby przerwa nie trwała ani minuty dłużej. Kto spóźnił się do roboty albo skoczył gdzieś w bok na jednego dymka, temu z miejsca odpisywał pełną godzinę.

I znów obraz się zmienia. Jeden z braci daje mu znać, żeby przyjechał do Chicago. Może znajdzie się jakaś robota w rzeźni. To już jest coś.

Brat sprowadza do domu znajomego, również Polaka, Michała Stróża, który obiecuje Wojciechowi załatwić pracę. Będzie to jednak kosztować.

— Ile? — pyta Wojciech. — Wystarczy 30 dolarów?

— Coś ty?! Równą setkę. Majstrowi czterdzieści, resztę inżynierowi. Ale robota za to stała. I zarobek niezły.

Prawie całe swoje oszczędności wpakował, by się do tej rzeźni dostać.

Prawdę powiedziawszy, Marek panicznie bał się tej roboty. Trzeba mieć końskie zdrowie. Stróż, który pracował przy wyładunku i sortowaniu soli, miał opuchnięte ręce i zniekształcone palce. Jego twarz wyglądała jak po przebytej ospie. Marek chciał to wszystko rzucić i wrócić z powrotem na farmę. Nęcił go jednak dość wysoki zarobek. Został.

Przerzucano go ze stanowiska na stanowisko. Najgorzej było w hali, gdzie dobijano ogłuszone prądem sztuki. Gorąca para, pomieszana ze słodkim zapachem krwi, widok ludzi z długimi nożami, rzężenie zabijanych zwierząt, przyprawiały go o mdłości. Poprosił o przeniesienie do innego działu.

Zbijał skrzynie. Właściwie to tylko wstawiał dna, bo boki dostawał już gotowe. Zajęcie nie było trudne i ciężkie, ale monotonne i wymagało szybkiego refleksu. Skrzynki przesuwały się na taśmie. Marek brał każdą z nich, stawiał na podręcznym stole, dopasowywał dno i wbijał cztery gwoździe: dwa z jednej strony i dwa z drugiej. Początkowo nie mógł nadążyć. Co trzecia skrzynka nie miała dna. Z czasem nabrał wprawy. Mógł pracować na ślepo. Dwa gwoździe z jednej strony, dwa z drugiej. Był częścią tej przesuwającej się taśmy. Był automatem.

W porównaniu z warunkami na farmie, tu zarabiał rzeczywiście nieźle. Do 75 dolarów tygodniowo. Mógł teraz więcej odłożyć. Za łóżko w sublokatorskim pokoju płacił miesięcznie 40 dolarów. Nie pił, nie palił, nie lenił się. Sam gotował, prał, robił zakupy. Do kina też nie chodził. Czasem tylko wpadł do sąsiada, który na małym radiu łapał polskie audycje. Od kolegów stronił. Koledzy to karty, kieliszek. W ten sposób by nie zaoszczędził.

Marzył o powrocie do Polski. Ale chciał wracać do kraju z wyładowanym trzosem. Żeby we wsi nie wytykano go palcami. Kupiłby wtedy kawałek pola, wybudował domek. I żyłby sobie jak pan.

Zaraz po wojnie napisał do pozostałych w kraju dwóch sióstr. Nie wiedział, bo i skąd, że jego listy staną się powodem do waśni i kłótni między nimi. Siostry, jak przedtem żyły w zgodzie, teraz zaczęły patrzeć na siebie z ukosa. Nie włączał się do konfliktu. Sprawiedliwie i jednej i drugiej słał paczki, dolary. Mimo to coś za często spadały na nich różne nieszczęścia i klęski losowe. Nie zaprzątał sobie jednak tym głowy. Widocznie jakieś fatum ciążyło nad jego rodziną.

Zaprosił do siebie młodszą, Magdalenę. Przyjechała w czerwcu i była do Bożego Narodzenia. Wtedy Marek przebywał już na rencie. Brał 46 dolarów z zakładu ubezpieczeniowego plus 49 dolarów zasiłku wyrównawczego z kasy miejskiej. Razem 95 dolarów. W Polsce wydawać się to może dużo. Ale tutaj? Wszystko podro-

Poezja historycznych pamiątek

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Pogórzu był zamek odrzykoński. Sławy przysporzyli mu dwaj głośni pisarze: Aleksander Fredro „Zemstą" i Seweryn Goszczyński „Królem zamczyska". Spór o zamek pomiędzy dwoma skłóconymi rodami dał pierwszemu temat do narodowej komedii; zrodzona na ruinach Odrzykonia historiozofia posłużyła za materiał do patriotycznej powieści poetyckiej. Nie omijał Odrzykonia żaden z autorów modnych w okresie romantyzmu podróży, starali się go uwiecznić w swych wierszach i pomniejsi poeci. Ruiny zamkowe stały się kanwą, na której budowano gmach narodowej historiozofii. To, co romantyk Goszczyński powiedział na widok Odrzykonia, można bez zastrzeżeń zastosować do innych pamiątek narodowych w okresie romantyzmu. „Wszelkie ruiny tego rodzaju — pisał z powodu przesiadującego go widoku Odrzykonia — są jakby grobem rodzinnym, widmem przeszłości, hieroglificznym kluczem do wiekowych dziejów, światem niewyczerpanym wspomnień, marzeń, smutków i pociech nowych. Ilekroć spojrzę na coś podobnego, tylekroć zdaje mi się słyszeć głos wewnętrzny: i tu pogrzebiony członek twojej przeszłości! a wnet religijne uczucia napełniają duszę, myśl podnosi się i budzi wolę, kieruje krok pielgrzymi i jesteś wśród gruzów".

Czymś analogicznym zdaje się być zamek odrzykoński we fragmencie „Listków z jesiennej podróży" Jakuba Zakrzewskiego pt. „Odrzykoń". Ruiny zamkowe stanowią dlań symbol trwałości dziejów i patriotyzmu narodu, w przeciwieństwie do współczesnego, zmaterializowanego społeczeństwa. Nie może ich doszczętnie zniszczyć nawet ich największy wróg, jakim według poety jest czas:

O niebaczny niszczycielu!
Toż więc niczym są te szczątki?
Niczym mury na Wawelu
I po kraju te pamiątki?...

Szczęściem reszta ocalała
Tej siedziby Oświęcimów,
Jeszcze w gruzach okazała,
Jak śród ludzi cień olbrzymów.

Twarde wieki, męskie czasy!
O, ci ludzie twardo żyli,
Co po szczytach między lasy
Jako orły się gnieździli.

Nie dziw, że ich pierś szeroka
W samorodny pancerz rosła,
Nie dziw, że ta myśl wysoka
W świat daleki czyny niosła!

Kiedy czucie pierś rozdęło
Była wola na posługi,
Co się w myśli raz poczęło,
Przeszło w czynów szereg długi"

Mowa tu oczywiście o znajdujących się w Krośnie grobach rodzeństwa Oświęcimów. Osnuta wokół nich legenda dała Zakrzewskiemu temat do napisania utworu pt. „Groby Oświęcimów".

„Przeglądając wiersze o bieszczadzkich pamiątkach historycznych obok zamku odrzykońskiego wymienić należy utwory o popularnych także wśród poetów XIX wieku zamkach Kmitów: na Sobniu i w Lesku. Rozgłosu nadał im starożytny ród tego imienia z Piotrem Kmitą, wojewodą krakowskim na czele. O Kmicie sobieńskim już Mikołaj Rej wspomniał:

„Kmitę sobieńskiego kto znał, był dziwny
w swych postawach,
A jako żubr porostem potrząsał swych sprawach,
A kto z nim chciał zgody, był zając z niego"

Ktokolwiek próbował rymować o zamku leskim (w czasach austriackich przybrało ono nazwy: Lisko, Lisk), zaczynał zwykle od sobieńskich Kmitów. Wspomniał go też w swym wierszu pt. „Na Sobniu" Aleksander Krasicki, krewniak dziewiętnastowiecznego właściciela Leska, Ksawerego Krasickiego. Sobieńskie ruiny przywodzą mu na pamięć sześć wieków zamkowej historii:

„Zawitaj znów pamiątko sędziwego Kmity
O witaj mi zameczku bluszczami owity!
Już mi w tobie cudny obraz płonie,
Znowu mię sześciu wieków wspomnienie owionie,
Jagiełły ujrzę obraz w granicie wyryty!"

Wiersz o zamku leskim musiał się zatem znaleźć i w zbiorze czołowego wierszopisa Bieszczadów z połowy XIX wieku Januarego Poźniaka:

„W Lisku, grodzie bardzo starym
Zamek Kmitów dumnie stoi,
Choć zawalon gruzem szarym,
Do zamkowych wstąp podwoi;
Choć czas zniszczył komnat stropy,
A w komnatach wzrósł chwast dziki
I nie tętnią ludzkie stopy,
Tylko gnieżdżą się puszczyki,
Sen, co obok zamku szumi,
Jak za czasów dawnych szumiał,
Zamku dumę tę rozumi,
Bo patrzał na Kmitów sławnych
Bo patrzał na owe sprawy,
Co się w zamku tym toczyły,
Dla korony polskiej sławy,
Dla wzmocnienia kraju siły"

Spośród wydarzeń, jakie miały miejsce w zamku leskim w ciągu jego historii autor eksponuje wydarzenia z czasów konfederacji barskiej, których śladem jest znajdujący się w Lesku grób Franciszka Pułaskiego, brata głośnego jej Wodza Kazimierza:

Gościli tam barskie chwaty,
Polskiej ziemi czelne ziarno,
Jakby z ula pszczoły, z Liska
Ciągną w pole walk barszczany,
Lub jak jasne skry z ogniska...
Gojono im w zamku rany.
Ciężko ranny pod Hoszowem
Dzielny Frańciszek Pułaski,
Zgasł przedwczoraj w zamku owem,
Jak porannej jutrzni blaski.
Zwłoki jego w Lisku w farze,
Spoczywają w zwykłej trumnie,
Lecz duch krąży śniąc o Barze,
Nad sanocką ziemią dumnie"

Zamek leski, odrestaurowany w XIX wieku kosztem Ksawerego Krasickiego przez Wincentego Pola „bieszczadzkiego wieszcza" piewcy cnót i tradycji domowych tego rodu dał autorowi „Senatorskiej zgody" asumpt do napisania „Listu do Ksawerego Krasickiego" z zamku leskiego", w którym oddając do dyspozycji odrestaurowaną pamiątkę witał swego opiekuna. Przedstawiona tu historia leskiego zamku jest bardziej zagęszczona niż w wierszu Poźniaka: obok „mar" postaci wspomnianych przez swojego poprzednika przesuwają się przez mury zamku jeszcze „diabeł Stadnicki", Stanisław Orzechowski oraz Szwedzi:

„... zawsze pustką stoi,
Ktoś szuka nocą skarbów i strach po nim broi...
A San szumi jak dawniej, trawnik zielenieje,
I lipa starożytna woń dokoła sieje,
A komnaty złociste czas zawala rumem,
I tylko powieść głucha krąży między tłumem.."

Obok Leska poświęcił Poźniak szereg wierszy i innym pamiątkom historycznym w Bieszczadach. Szum dwu jesionów na mogile pod Hoszowem „wyśpiewał" mu w „Mogiłach pod Hoszowem" dzieje walk wspomnianego już w „Zamku Leskim" Kazimierza Pułaskiego; grób zmarłego przy końcu XVII wieku rotmistrza chorągwi husarskiej Józefa Bukowskiego w Nowotańcu — dał powód do przedstawienia zasługi cnót rycerskich sanockiego rodaka:

„W Nowotańcu pod kościołem
Jest grobowy dawny loch
W nim złożone trumny społem,
W trumnach próchno, kości, proch,
Jedna tylko trumna stoi,
W niej spoczywa jakby spał,
Mąż w husarskiej naszej zbroi..."

rozpoczyna autor utwór, opiewając w dalszych strofach jego walki ze Szwedami. Ruiny sanockie zamku ewokowały w pamięci Poźniaka postać Mikołaja Kamienieckiego, starosty sanockiego i kasztelana w XVI wieku. Oto, czym jest dla autora zamek sanocki:

„Z dawien dawna Sanok grodem,
W nim orłem na stromej skale,
Usiadł zamek dumny rodem
I spogląda w Sanu fale:
Bo te fale dniem i nocą,
U podnóży u zamkowych
To zaszumią, to klekocą
O tych czasach Zygmuntowych..."

które Poźniak w następnych strofach wiersza demonstruje.

Przytoczone tu przykładowo fragmenty niektórych wierszy o pamiątkach historycznych w Bieszczadach, to tylko cząstka „upoetyzowanej" historii tego skrawka regionu. Przypomnienie ich mogłoby spopularyzować niejeden zapomniany fakt historyczny, jaki się w przeszłości na ziemiach Rzeszowszczyzny dokonał.

ALEKSANDER ŻYGA

POLONICA kulturalne

IGOR BEŁZA O DAWNEJ MUZYCE POLSKIEJ

Lipcowy numer miesięcznika „Sowietskaja Muzyka" zamieszcza obszerny artykuł znanego radzieckiego muzykologa i wybitnego znawcy polskiej kultury — prof. Igora Bełzy pt. „Pomniki muzyki staropolskiej". Autor, który uczestniczył w zorganizowanym w ub. roku w Bydgoszczy I Międzynarodowym Festiwalu i Kongresie Muzyki Dawnej Krajów Europy Wschodniej i Środkowej, omawia publikacje Polskiego Wydawnictwa Muzycznego i Instytutu Sztuki PAN, poświęcone zabytkom naszej kultury muzycznej. Prof. Bełza analizuje wydane pod redakcją niedawno zmarłego ks. prof. dr Hieronima Feichta dzieło „Muzyka staropolska" oraz opracowaną przez Krystynę Wilkowską-Chomińską „Tabulaturę" Jana z Lublina.

KONCERTY POZNAŃSKIEGO CHORU CHŁOPIĘCEGO W NRD

Pełnym sukcesem zakończyło się ostatnie tournee Poznańskiego Chóru Chłopięcego pod dyrekcją Jerzego Kurczewskiego po NRD. Zespół znany niemieckim melomanom z wielokrotnych wizyt w tym kraju, tym razem koncertował w Karl-Marx-Stadt, Zwickau, Rostocku i innych miejscowościach nadmorskich oraz w Berlinie. Poznański Chór Chłopięcy uczestniczył m. in. w obchodach „Święta Prasy" w Zwickau oraz „Ostseewoche" w Rostocku. Plonem tournee są nie tylko pełne superlatywów recenzje (m. in. w „Neues Deutschland"), dziesiątki tysięcy słuchaczy na koncertach, ale również zaproszenia na następne wizyty do Rostocku i Zwickau — z okazji 850-lecia miasta.

ŁÓDZKA „KARUZELA" W „KROKODYLU"

20 numer radzieckiego pisma satyrycznego „Krokodil" zamieszcza na dwóch stronach teksty i rysunki satyryczne zaczerpnięte z łódzkiej „Karuzeli". Znajdujemy tu teksty Zygmunta Fijasa, Horacego Safrina, Jana Sztaudyngera, Wojciecha Drygasa, Adama Ochockiego, Wiesława Trzaskalskiego oraz rysunki Karola Baranieckiego, Stanisława Gratkowskiego, Józefa Skonieczniego i Kazimierza Mozolewskiego. Wszystkie teksty przełożył znany tłumacz radziecki Naum Łabkowski.

LIST ROSYJSKIEGO HISTORYKA DO ADAMA CZARTORYSKIEGO

W Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym w Wilnie znaleziono list pisarza-historyka rosyjskiego Mikołaja Karamzina (1766—1826) z 30 czerwca 1804 r., zaadresowany do ks. Adama Czartoryskiego, ówczesnego ministra spraw zagranicznych Rosji i kuratora okręgu naukowego wileńskiego. Karamzin odpowiada na prośbę Czartoryskiego polecenia mu odpowiedniego kandydata na wykładowcę historii literatury rosyjskiej uniwersytetu w Wilnie. Wysuwa on w porozumieniu z rektorem uniwersytetu moskiewskiego kandydaturę absolwenta tej uczelni E. Bakkarewicza, powątpiewając jednak, czy Bakkarewicz będzie mógł wykładać po francusku.

Wykładowcą mianowany został jednak kto inny: Iwan Czerniawski, który zajmował to stanowisko do 1820 roku.

żało. Za pokój u jednego Czecha płacił miesięcznie 40 dolarów. Oszczędności złożonych w banku starał się jednak nie ruszać.

Siostra zapytała o pieniądze. Powiedział, że ma. Ile? 3 tysiące dolarów. Namawiała do powrotu.

Po niej przyjechała siostrzenica, zaproszona przez ciotkę. Wpadła do wujka tylko na kilka dni, aby poinformować, że matka rozpoczęła starania o ściągnięcie go do Polski.

— Ptasiego mleka wujciowi nie zabraknie. Proszę przyjechać. Już my się wujciem zaopiekujemy.

W czerwcu 1965 Wojciech Marek stanął na płycie lotniska na Okęciu. Był w Polsce.

Przyjazd Marka do wsi stał się sensacją przez kilka dni. Wkrótce jednak ciekawość ustąpiła miejsca powątpiewaniu. Bo ani samochodu nie przywiózł i zwyczajnie ubrany był. Kiedy we wsi zorganizowano zabawę, namawiano go żeby postawił znajomym kolejkę. Wykręcił się. Powiedział, że nie pije, papierosem też nie poczęstował, bo nie palił. Nawet porządnego zegarka nie miał.

— Oni mają fałszywe pojęcie o życiu w Stanach — mówi Marek. — Wielu wyjeżdżało kiedyś za chlebem. Ale tylko nieliczni doszli po latach do jakiej takiej fortuny. Nie o wszystkich się teraz pamięta. Teraz liczy się tylko ford, cadillac czy hojny gest. Widziałem jednak Polaków w przytułkach dla ubogich, których zżerała nędza i nostalgia za krajem. Rozmawiałem z Polakami, mieszkającymi na farmach w barakach, którzy chętnie wróciliby do ojczyzny, ale nie mają za co. Nie wszyscy zrobili karierę. Nie wszystkim wyszło.

*

Siedzimy w sadzie pod gruszą. Marek odłożył na bok laskę i wyciągnął na taborecie nabrzmiałą nogę. To pamiątka ze Stanów. Na farmie spadł z płotu i dotkliwie się potłukł. Nie leczone rozbite kolano przyczyniło się do powstania komplikacji.

— Niech pan opowie jeszcze raz, od początku — proszę.

— Zaraz po przyjeździe współżycie pomiędzy mną, siostrą i siostrzenicą układało się pomyślnie. Dano mi osobny pokój, jadłem to samo co one. Po tygodniu przyszły do mnie do łóżka.

— Masz pieniądze?

— Mam.

— Ile?

— Dwa tysiące dolarów. Resztę wydałem na podróż.

— Daj, to przechowamy. Złodzieje kręcą się po okolicy. Mogą ciebie napaść.

Dałem. Potem upomniałem się, żeby mi pieniądze oddano. Wyśmiały mnie. „O jakich dolarach mówisz? Coś ci się przewidziało".

Odtąd na każdym kroku zaczęły mi dokuczać. Wypominały, że nic nie robię, jestem leń i darmozjad. Nie mogłem dłużej wytrzymać. Przeniosłem się do drugiej siostry.

Wówczas Marek złożył zażalenie w tarnobrzeskiej Prokuraturze i milicji. W czasie rewizji w domu siostry znaleziono ponad 700 dolarów i sporo gotówki w banknotach polskich.

Kobiety jednak oświadczyły, że dolary otrzymały za pośrednictwem banku berlińskiego właśnie od Wojciecha Marka i na dowód przedstawiły odpowiednie dokumenty. Istotnie, Marek przed wyjazdem wysłał jeszcze siostrzenicy 600 i siostrze 100 dolarów.

Dochodzenie prowadzone pod nadzorem Prokuratury Powiatowej w Tarnobrzegu, zostało umorzone. Nie było świadków, a materiał zebrany w trakcie żmudnego śledztwa, zresztą bardzo kontrowersyjny, nie nadawał się do sporządzenia aktu oskarżenia.

Ale w tym miejscu rozpoczyna się dalszy ciąg dramatu.

W kilka tygodni później siostrzenica wytacza wujkowi proces o wypłacenie odszkodowania za jego 9-miesięczny pobyt w domu matki. To nic, że siostra podpisała zobowiązanie, że będzie utrzymywać brata do śmierci i że obie kobiety doiły wcześniej ze starego, ile się dało. Siostrzenica domaga się od wujka 10 tys. złotych. „Przecież żarł, ile chciał — mówiła dziennikarzowi. — To i tak niedużo".

Na polu zapada zmierzch.

— Czy pan był może u siostry? — pyta Marek po chwili milczenia.

— Byłem.

— I co mówiły?

— Nic.

Przecież mu nie powiem jak obrzucały go błotem, wyzywając od dziadów, żebraków, wszarzy i idiotów. Nie chcę robić staremu przykrości.

Edward Wisz

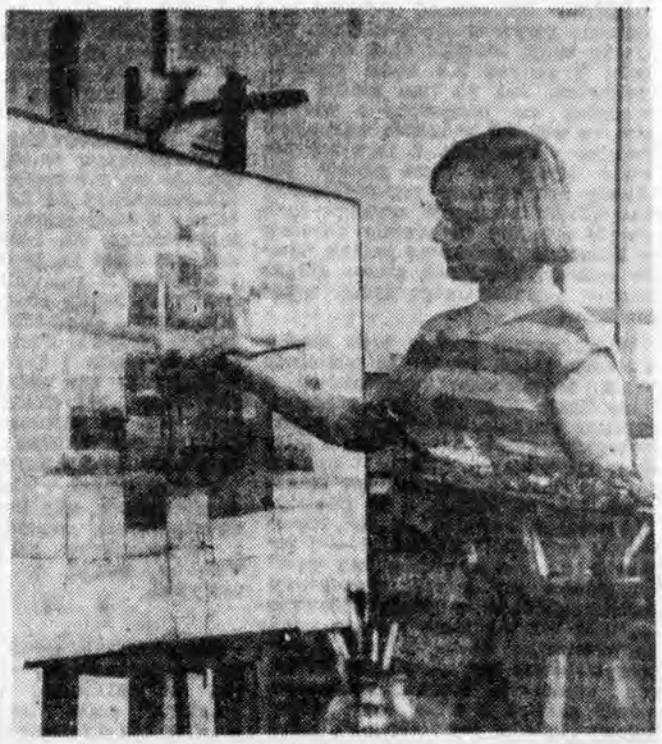

Z pracowni plastyków rzeszowskich: Zuzanna Kusek-Kud przy sztalugach. *Fot. M. KOPEC*

Justyna Woś

CZY TYLKO WODA I POGODA?

Wczasy w przeważających wypadkach — to pojęcie biernego i słodkiego próżnowania, które bardzo często jest nosicielem nudy. Wracając do pracy, nie przywozimy zapasu energii i sił. Jesteśmy zmęczeni. Tak jak przed urlopem. I trzeba było licznych eksperymentów socjologicznych, medycznych — aby uwierzyć, że najkorzystniejszy dla regeneracji organizmu — jest odpoczynek aktywny, polegający na włączeniu do akcji swojej świadomości, a czasem i wysiłku. Dobrze wiedzą o tym zakłady pracy i w myśl tego starają się zapewnić pracownikom takie warunki, w jakich regeneracja organizmu byłaby najpełniejsza. Prowadzenie nowych form odpoczynku nie jest jeszcze ujęte w koordynujące harmonogramy, ale sam fakt, że czyni się w tym kierunku starania, jest dobrym objawem i dlatego zasługuje na uwagę.

Utarło się zdanie, że wśród wielu zakładów pracy w woj. rzeszowskim, pod względem różnorodności pomysłów i ich realizacji celuje Huta w Stalowej Woli. Jakkolwiek te opinie nie pozbawione są słuszności, obiektywna ocena sytuacji każe stwierdzić, że jeszcze nie wszystkie możliwości wykorzystano. I tym może się zajmiemy.

* * *

Na początek kilka zestawień statystycznych. Akcją wczasów w Myczkowcach objętych jest w sezonie około 600 pracowników Huty, Ulanów — ośrodek wypoczynku po pracy może pomieścić około 400 osób. Gdy do tego wliczyć wycieczki (w przybliżeniu 7 tys. osób) oraz kolonie, obozy ZHP i ZMS — otrzyma się niebagatelną liczbę. W przyszłości zwiększy się poważnie ilość miejsc, gdy w myśl porozumienia między Hutą „Stalowa Wola" a „Siarką" — Tarnobrzeg — staną w latach 1968/69 dwa obiekty wczasowe w Połańczyku nad Zalewem Solińskim. Projektowane tam nowoczesne wyposażenie, pomieszczenia dla zajęć kulturalno - rozrywkowych — zapewnią możliwość wypoczynku z uwzględnieniem zainteresowań uczestników.

Tymczasem musi wystarczyć to co jest: Myczkowce i bardzo popularny wśród pracowników huty ośrodek wypoczynku po pracy „Tanew" w Ulanowie. Na powodzenie, jakim cieszy się ten środek, składa się wiele czynników. Jednym z nich, to bliska i korzystna ze względów zdrowotnych (duża ilość jodu) lokalizacja. Innym, wprowadzenie stałej komunikacji między miejscem pracy a ośrodkiem wypoczynku. Rozkład uwzględnia najkorzystniejsze dla pracowników godziny w ciągu całego dnia. Koszt przejazdu bardzo niski (2 zł).

W samym ośrodku, nowym i nie posiadającym jeszcze restauracji — zorganizowano akcję, która regulować ma braki uwarunkowane trudnościami obiektywnymi. Znajdują się tu 3 kioski spożywcze ze świeżym pieczywem, mlekiem i najpotrzebniejszymi artykułami. Ponadto codziennie przywozi się z zakładu pożywne zupy, których cena w wysokości 3 złotych nie budzi niczyich zastrzeżeń. Już po tym można powiedzieć, że pomyślano o wszystkim, co wchodzi w zakres warunków socjalno - bytowych. Z tego też powodu słyszy się wiele głosów pochwały pod adresem przedsiębiorczej Rady Zakładowej. W wyścigu tych starań o lepsze urządzenia Ośrodka w Ulanowie przeoczono jednak pewne sprawy, zagubiono szanse zorganizowania kulturalnego życia wczasowiczów.

W pierwszym rzędzie brak kiosku z bieżącą prasą. Trudno tu właściwie winić bezpośrednio kierownictwo i Radę Zakładową, bo jak wiadomo czyniono starania, by otworzyć punkt sprzedaży gazet w jednym z kiosków spożywczych. GS w Ulanowie nie wyrażała sprzeciwów, ale szansę pominięto, bo później z tą inicjatywą wystąpił również „Ruch". Ostatecznie zabrakło sprzedawcy — i zostawiło się wczasowiczów bez gazety, ołówka czy żyletki. Powiatowy Oddział „Ruchu" w Nisku widocznie sądzi, iż nic tak złego się nie stało, bo miasteczko blisko. A nam i odpoczywającym wydaje się, że to żaden argument. Można wprawdzie mówić chociaż o częściowym zaspokojeniu „głodu czytelniczego", gdyż prowadzi się tu wypożyczalnię książek. Biblioteczka jest poważnie zasilana przez Publiczną Bibliotekę w Ulanowie. Ten pomysł był jedynym, który urzeczywistniono bez większych trudności.

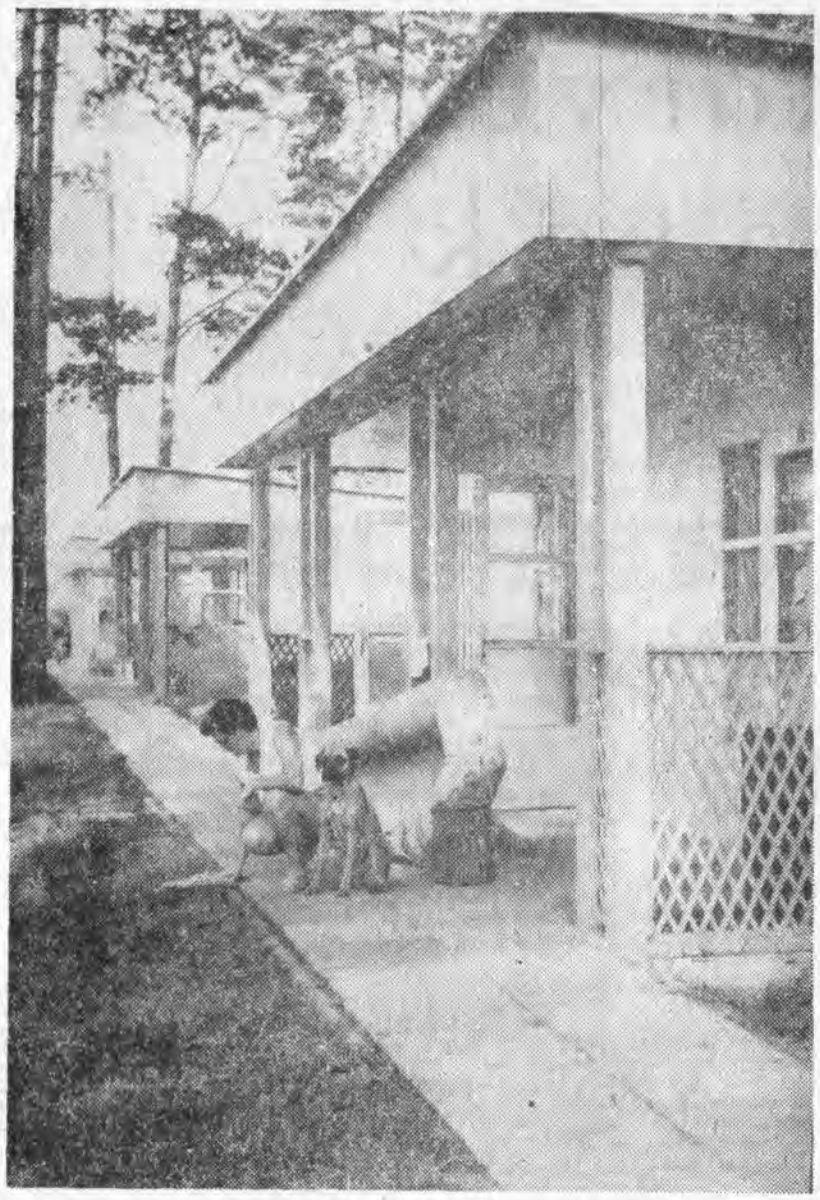

W ośrodku wypoczynkowym Huty „Stalowa Wola" w Ulanowie.
Fot. M. KOPEĆ

Gdy już jesteśmy przy brakach — to chyba brak jednak zorganizowanej rozrywki. Na kilkakrotnie zadane przez nas pytanie, czy chętnie uczestnicy widzieliby jakąś imprezę rozrywkową, odpowiedzią był aprobujący uśmiech i potakiwanie. Przy tym padały ciągle słowa pochwały i może usprawiedliwienia pod adresem opiekuna „Tanwi". Oczywiście rozrywka ożywiłaby życie, ale uczestnicy zdają sobie sprawę z trudności, jakie stoją na przeszkodzie. „Tanew" jest przede wszystkim ośrodkiem wypoczynku po pracy, ludzie zmieniają się jednak jak w kalejdoskopie — ich wypoczynek liczy się na godziny, doby, tygodnie... Kierownik ma na swojej głowie aż nadto obowiązków i problemów, a obarczenie go dodatkową funkcją dostawcy masowej rozrywki, byłoby rzeczą nieludzką.

A może by po prostu zatrudnić instruktora kulturalno - oświatowego? Jego rola polegałaby na tym, że zająłby się przygotowaniem jakiegoś, chociażby najprostszego planu — nie mówmy dużych imprez — ale kameralnych rozrywek. Mogłoby to być ognisko ze „zgaduj-zgadulą", wieczorek z piosenką, żywym słowem uczestników, którzy chętnie wystąpiliby, gdyby ktoś nimi pokierował. Uzupełnieniem byłyby spotkania z ciekawymi ludźmi nauki i sztuki. I wreszcie wieczorki taneczne — które zresztą już teraz są organizowane. Te ostatnie wyszczególniamy — bo i one dostarczają wiele okazji do prezentacji umiejętności artystycznych, małych form rozrywki: plebiscytów, konkursów, koncertów życzeń i wielu zabaw towarzyskich — których dużym atutem jest humor i ogólny śmiech.

Na przeprowadzenie pierwszych eksperymentów w tej dziedzinie — wydaje się, nie trzeba czekać aż stanie planowany na 1968/69 obiekt hotelowy z restauracją, kawiarnią i pomieszczeniem na świetlicę; z powodzeniem może się to udać na wolnym powietrzu. Z zadowoleniem przyjęty byłby też każdy objaw pomocy wypływający z Zakładowego Domu Kultury w Stalowej Woli, nie tylko z racji rozpoczęcia i zakończenia sezonu wczasowego czy ważnego jubileuszu, ale także „bez okazji", aby odczuwało się, że patronatu nad życiem kulturalnym ośrodka nie sprawują instytucje przypadkowe.

Trudno nawet wyliczać możliwości w warunkach, gdy ludzie nastawieni na odpoczynek połączony z beztroską i niewyszukaną zabawą, chętnie wzięliby udział w przygotowaniu rozrywki.

* * *

Organizowanie zajęć na własną rękę między kąpielą, plażowaniem i grą w siatkówkę, dla zapełnienia „pustego" czasu miewa niekiedy przykre dla otoczenia następstwa. Tu jaskrawy — a jakże typowy dla wielu ośrodków, nie tylko w Ulanowie przykład, przykrego hałasu, gwaru, różnego rodzaju komunikatów, muzyki od big-beatu, jazzu, do muzyki poważnej z tranzystorów. To chyba prawdziwa plaga. Nie chcemy mówić, że nie należy zabierać z sobą radia — nawet przeciwnie, skoro nie ma gazet — ale jeśli się słucha bez względu na to czy dziennika, czy muzyki — to trzeba słuchać dyskretnie, bez narażania cudzej cierpliwości i nerwów.

Druga przyczyna mącenia nie tylko spokoju, lecz i powietrza, wiąże się z piaszczystą drogą biegnącą między domkami campingowymi a polem namiotowym. Przewidujące kierownictwo zamknęło przejazd. Mimo to zakaz wjazdu ciągle jest łamany, czego objawem jest raz po raz tuman wznoszącego się piasku i kurzu za oddalającym się samochodem.

Liczymy się z tym — że poddawane sugestie mogą być równie dobrze przyjęte i realizowane, jak też wyeliminowane w konkurencji prostszych, atrakcyjniejszych propozycji. W związku z tym, może teraz już warto posłuchać głosów ludzi, którzy korzystają z usług ośrodka, bo w końcu ich głos powinien mieć znaczenie decydujące w przedsięwzięciu jakichkolwiek w tym kierunku kroków. Opinie i zdania na ten temat można łatwo uzyskać przez ankiety czy wprowadzenie czegoś na kształt skrzynki propozycji i życzeń. Byłoby to niezastąpioną pomocą w kształtowaniu właściwego profilu kultury i aktywności odpoczynku.

Nad Tanwią w Ulanowie

Fot. M. KOPEĆ

Cecylia Błońska

Trzy warianty szczęścia

...Caesar ex Solone quesivit... profesor łaciny ze znawstwem zwracał nam uwagę na niezwykle skomplikowaną, filologicznie interesującą składnię tego pytania, przemyślnie skomponowane przypadki, accusativus cum infinitivo, w jego pojęciu całkowicie dominujące nad treścią rozmowy cesarza z Solonem. Panujący wypytywał mędrca, kogo mianowicie uważa za najszczęśliwszego, przypuszczając obłudnie, iż usłyszy swoje świetne imię. Solon natomiast — posługując się składnią, która przez wieki przetrwała w gramatykach języka łacińskiego — odpowiadał dość enigmatycznie, iż n i k t p r z e d ś m i e r c i ą n i e j e s t s z c z ę ś l i w y.

Wobec ponurej filozofii tej sentencji buntowałyśmy się jawnie, pragnąc nawet dyskusji ze srogim wykładowcą. Nie był skory do podjęcia z nami jakichkolwiek rozmów na ten temat, energicznie zachęcając nas do nauki: — zwróćcie uwagę na to ex, przecież to jest fenomenalnie użyte... Jeśli chcecie dyskutować o szczęściu, macie lekcje propedeutyki filozofii, omawiacie coś tam na „polskim".

Był to właśnie czas, w którym wyobraźnie naszą rozpalała „Rajska jabłoń", z wypiekami na twarzy połykałyśmy karty „Dziewcząt z Nowolipek", płakałyśmy nad losem nieszczęśliwej dziewczyny z „Bocznej ulicy", współczując jej nieszczęśliwej miłości do żonatego mężczyzny...

W książkach, w filmach szukałyśmy wówczas recepty na niezawodne szczęście.

* * *

Jakąś odpowiedź na pytanie, gdzie szukać może szczęścia młoda, ambitna, piękna, wyzwolona z przesądów dziewczyna, próbował dać film „Darling", cieszący się taką frekwencją w najbardziej kanikularne dni aktualnego lata.

Złotowłosa Darling ma wszystkie dane ku temu, by być szczęśliwą. Jest atrakcyjna, fotogeniczna, co z łatwością, zwłaszcza w filmowym scenariuszu, przynieść jej może karierę wziętej modelki, osoby, którą z reklamowych fotosów znają miliony.

Praca jednakże stanowi w jej poczynaniach marginesowy fragment. Związana uczuciem ze znanym dziennikarzem TV, mężczyzną głębokim, refleksyjnym, odciąga go od żony i dzieci, sama porzuca dlań jakiegoś bliżej nieokreślonego męża (zarzucając mu, iż zbyt intensywnie... uczy się obcych języków) i w tym na siłę zmontowanym związku nie znajduje bynajmniej pełnego zadowolenia. Ma wiele przygód miłosnych, plącze się po spelunkach Paryża, licytując starych, wyranżerowanych rozpustników cynicznym zachowaniem się. Przy tym wszystkim nienagannie, z wyszukaną elegancją prezentuje na ulicach Londynu opróżnionych do zdjęć, znakomita kolekcję najmodniejszych toalet.

„Dziewczyna o zielonych oczach" obraz, który wszedł u nas na ekrany nieomal równocześnie, to dzieje romansu bardziej tradycyjnego: młodziutkiej, naiwnej dziewczyny z prowincji i starszego mężczyny, autora nieatrakcyjnych ramot, w jej oczach opromienionego sławą wybitnego pisarza. Dziewczyna, Irlandka z pochodzenia, otrzymała tradycyjne konserwatywne wychowanie. Jest skromną ekspedientką w Dublinie. Przypadkowa znajomość z pisarzem — człowiekiem żonatym, ojcem dorosłego dziecka, z wielką konsekwencją doprowadza do sytuacji dość ryzykownej; udają małżeństwo, mała nosi na palcu efektowną obrączkę, ubrana jest w „dorosłą" suknię. On natomiast z góry zakłada utrzymanie takiego stanu li tylko tak długo, jak będzie im ze sobą wesoło, swobodnie, przyjemnie...

Są w tym filmie epizody przypominające trochę przedwojenne polskie komedie. Do nich należy ów moment, gdy gospodyni pisarza sztucerem odpiera nocny napad ojca i całego tłumu kuzynów dziewczyny, pragnących ukarać uwodziciela, wyrwać ją z jego domu i oczywiście objęć. Ta scena przesadza zresztą szalę: dziewczyna o zielonych oczach podczas krytycznej nocy decyduje się na wszystko...

Ostatnio w prasie pojawiły się informacje o zamiarach sfilmowania „Pestki" powieści Anki Kowalskiej. Powieść ta, szybko wznowiona, opowiada dzieje Agaty, autorki wydanych już tomików wierszy, znakomicie zapowiadającej się dziennikarki warszawskiej telewizji, dziewczyny tak atrakcyjnie pięknej, tak przez mężczyzn pożądanej, że stworzonej chyba do szczęścia i miłości.

Ale Agata, Don Juan w spódnicy, swobodnie dobierająca sobie i równie lekko odrzucająca przygodnych kochanków, pada ofiarą dramatycznego uczucia. Zakochała się w Borysie, człowieku żonatym, statecznym, inżynierze pod czterdziestkę, skutecznie terroryzowanym przez chorowitą żonę, energiczne bliźniaki i kochającą mamę. Jemu imponuje zwycięska młodość Agaty, jej sukcesy towarzyskie. I co tu mówić, chciałby wypróbować i przekonać się, czy sam jest jeszcze pociągający, zdolny wzbudzić miłość w młodej dziewczynie.

Może i to, niestety, aż nadto skutecznie. To bowiem, co dzieje się z Agatą, która rok po roku tego zawiłego romansu traci swą świeżość, niezależność, pewność siebie, staje się echem egzystującym tylko w pobliżu Borysa, przypomina „Cierpienia młodego Wertera" a jeszcze bardziej „Niedobrą miłość" Nałkowskiej. Agata tknięta jest niedobrą miłością, taką, od której nie ma ucieczki.

Czy Darling, Dziewczyna o zielonych oczach, Agata, znajdą w końcu upragnione szczęście?

Darling sprzeda się arcybogatemu włoskiemu księciu z kilkorgiem dzieci. Ani luksus jego rezydencji, ani „prawdziwy" ślub, który uczyni z niej prawdziwą księżnę, nie zmienia faktu, że przehandlowała swą urodę i że utraciła jedynego człowieka — owego dziennikarza, który mógł jej, bez książęcej mitry dać szczęście i odrobinę ludzkiej godności.

Agata, której smutne losy toczą się w jakże swojskich okolicach Skierniewic, w przepełnionych pociągach między Warszawą a Gdańskiem, a rozmowy z ukochanym raz po raz torpeduje zazdrosna żona lub zniekształca międzymiastowa, zmierza prosto ku samobójczej śmierci. Tytuł powieści Kowalskiej „Pestka" miałby sugerować głęboko ukryte najcenniejsze wartości tkwiące w każdym człowieku, owo „coś" co nie pozwala Agacie na doprowadzenie zagmatwanego romansu do końca. Zabierając Borysa żonie, dzieciom, niezmiennie dba o to, by jego małżeństwo nie zostało rozbite, co zresztą jemu samemu najbardziej dogadza.

Jednakże czytelnik o d b i e r a ów tytuł inaczej. To właśnie Agata wydaje się ową pestką, pozostałą po owocu dojrzałym, pięknym, zniszczonym i unicestwionym przez bezsensowną namiętność.

A jaki wariant staje się udziałem dziewczyny o zielonych oczach?

Z nią wydarza się historia nietuzinkowa. Oczywiście szaleje za kochankiem; ten, co było do przewidzenia, porzuca ją, by powrócić do władczej bogatej żony, mającej możliwości upchania na wydawniczy rynek jego w mece tworzonych elukubracji. Płaskie komunały o niemożności porozumienia wieku dojrzałego z zaborczą młodością, o konieczności przeczekania kryzysu, nie stanowią dla małej ekspedientki dostatecznej zapory przed dojmującą rozpaczą.

Ale epilog tego romansu, pozornie stereotypowy, wydaje mi się bardzo mądry. Dziewczyna opuszcza Dublin, jedzie do dużego miasta, podejmuje pracę. Świadomie dąży do tego, by otrząsnąć z siebie niedawną przeszłość. I co najdziwniejsze, przyjaciółkom jako o niezwykłym sukcesie opowiada o tym, iż chodzi do wieczorowej szkoły, gdzie poznała wielu rówieśników i wiele ciekawych spraw.

Nie została księżną. Nie zabiła się. Uczy się. W sposób, pewnie że trochę naiwny, próbuje budować swą młodość — a z nią i szczęście — od nowa.

I coś w tym jest...

Cecylia Błońska

Kamienne głowy Fot. WAWRZYNKIEWICZ

„Lalka" na ekranie

W zespole realizatorów filmowych „Kamera", kierowanym przez Jerzego Bossaka, trwają przygotowania do przeniesienia na ekran „Lalki" Prusa. Obok adaptacji filmowej „Pana Wołodyjowskiego", jest to drugie tak poważne przedsięwzięcie, które podejmuje w br. „Kamera". Film reżyserować będzie Wojciech Has, który opracował scenariusz w oparciu o powieść Prusa wraz z Kazimierzem Brandysem.

- Obsada nie została ostatecznie skompletowana, trwają jeszcze rozmowy z aktorami. Nakręcanie filmu potrwa szereg miesięcy, uniemożliwiając im często przez czas dłuższy występy w teatrze.

Jak się dowiaduje sprawozdawca filmowy PAP, w roli Wokulskiego wystąpi Mariusz Dmochowski, Izabelli Łęckiej — Beata Tyszkiewicz, Tomasza Łęckiego — Jan Kreczmar, Ignacego Rzeckiego — Tadeusz Fijewski, prezesowej — Jadwiga Gall, baronowej Krzeszowskiej — Halina Kwiatkowska; subiektów grać będą: Lisieckiego — Gustaw Lutkiewicz, Klejna — Krzysztof Litwin, a Mraczewskiego — Julian Jabczyński, w roli pani Wąsowskiej wystąpi Kalina Jędrusik, starego Szlangbauma — Tadeusz Konrat, Magdalenki — Anna Seniuk, Florentyny — Irena Szramowska. Szereg ról jest jeszcze nie obsadzonych, wśród nich księcia, Ochockiego, Starskiego, dr Szumana, barona.

Zdjęcia przewidziane są na początek października br. Pierwsze sceny ukazujące Zasławek filmowane będą w Radziejowicach. Następnie ekipa przeniesie się na plenery do Warszawy. Niestety, niewiele zdjęć da się wykonać w naturalnej scenerii — stolica zmieniła się bardzo od czasów Prusa. Filmowane będą sceny w kościele Karmelitów; w późniejszym terminie — ujęcia na tle Łazienek.

Zdjęcia atelierowe wykonywane będą w dwu wytwórniach — wrocławskiej i łódzkiej. We Wrocławiu wybudowane zostaną duże dekoracje ukazujące XIX-wieczną Warszawę, m. in. fragmenty Krakowskiego Przedmieścia i Placu Zamkowego. Odtworzony zostanie m. in. pomnik Kopernika: autentyczny nie może być wykorzystany (jarzeniowe lampy i jezdnia pokryta asfaltem).

W dniu, w którym sprawozdawca PAP odwiedził „Kamerę", szef produkcji tego zespołu Józef Krakowski załatwiał skomplikowane problemy związane z szyciem kostiumów. Terminy naglą, a specjalistów, którzy podjęliby się uszycia 400 kreacji XIX-wiecznych elegantów, niełatwo jest znaleźć. Dodajmy, że projekty oprawy plastycznej, a więc zarówno kostiumów, jak też dekoracji, opracowują małżonkowie Lidia i Jerzy Skarżyńscy, którzy współpracowali już z Hasem przy filmie „Rękopis znaleziony w Saragossie". Konsultantem historyczno-literackim jest prof. Henryk Markiewicz, a w sprawach mody, kostiumów i rekwizytów — Andrzej Banach. Zdjęcia (szeroki ekran, barwna taśma marki eastmancolor) wykona Stefan Matyjaszkiewicz. Kierownikiem produkcji filmu jest Ryszard Straszewski.

Być może, już w końcu przyszłego roku będziemy mogli wybrać się na sfilmowaną „Lalkę". Jak poinformował W. Has, twórcy filmu opierać się będą wiernie na literackim pierwowzorze, choć, rzecz jasna, z niektórych wątków i postaci trzeba było zrezygnować, np. z wątku pani Stawskiej, pobytu Wokulskiego w Paryżu, a przede wszystkim z pewnych fragmentów pamiętnika Rzeckiego. Czas projekcji filmu nie powinien przekroczyć 2 i pół godziny.

List z Krakowa

SMOK W OGÓRKACH

Na brak sensacji nie można narzekać. Parę dni temu na Bagrach w Prokocimiu dostrzeżono w wodzie coś na kształt olbrzymiego węża, potwór miał troje oczu, długi rozdwojony język i paszczę uzbrojoną w szesnaście zębów, z których jeden miał złotą koronkę.

Podejrzewa się, iż jest to w prostej linii potomek smoka wawelskiego, który najprawdopodobniej nie zginął bezpotomnie. Chodzą słuchy, że w niedługim czasie przyjadą do Krakowa spece od węża morskiego z Jeziora Loch Ness, a póki co poszukuje się dentysty, który być może leczył węża w przychodni ubezpieczalnianej. Działalność tego typu nie umacnia zaufania pacjentów do społecznej służby zdrowia. Pal diabli smoka, ale dentysta musi być odszukany!

Poza tym w ZOO w Lasku Wolskim małpa pogryzła chłopca. Aż dziw, że dopiero w sezonie ogórkowym i że tylko jednego. Gdybym był na miejscu małp postarałbym się o częstsze gryzienie, gdyby mi się trafiła okazja. Gdyby mi zaśmiecano dom niedopałkami papierosów, kawałkami szkła, drutu, patyków, rzucano we mnie ogryzkami, to na pewno nie zachowywałbym się zbyt łagodnie. A przecież domem — wielkie słowo — małpy jest klatka, a ludzie przed klatkami zachowują się o wiele gorzej niż małpy w klatce.

W teatrach posucha. „Moralność pani Dulskiej", „Balladyna" i kropka. Puste krzesła, od czasu do czasu trafi jakaś utrudzona wycieczka, która przyjdzie się przespać na spektaklu: „... już wysiadamy" szepce rozespany jegomość, któremu wydawało się, że siedzi w autobusie...

Urlopowy Kraków zjada swoje sto i trzydzieści ton chleba dziennie, dodając do tego odpowiednią porcję masła i wędlin, dzieli się tą kanapką z paru tysiącami zagranicznych turystów, którzy obrodzili latoś w starych murach podwawelskiego grodu.

Ciszej tylko jakby w mieście. Mniej ludzi w kawiarniach, mało dzieci na ulicach. Przechodnie są dwukolorowi — opaleni na brąz i o odcieniu bladozielonym. Ci pierwsi, to szczęśliwcy, którzy zdobyli urlopy w lipcu, druga grupa, to potencjalni urlopowicze, pracujący w fabrykach, biurach, urzędach, oglądający słońce jedynie przez szybę. Mają jedyną przewagę nad tymi opalonymi, że urlop jest przed nimi i nadzieję, że nie zawiedzie ich wrzesień.

Tu i ówdzie trafi się sporadycznie jakaś impreza, nie najciekawsza, ogórkowa, nie ciesząca się nadmierną frekwencją. Duży ruch trwa tylko w Międzynarodowym Hotelu Studenckim, gdzie bez przesady codziennie goszczą przedstawiciele różnych ras i narodowości. Miłośnicy folkloru mogą uczestniczyć w improwizowanych na prędce występach, a urocze krakowianki przychylnym okiem patrzą na przybyszy z zagranicy. Pewien miejscowy młodzian pozazdrościł powodzenia zagranicznikom i w języku angielskim usiłował podrywać „babkę" — udało mu się nawet. Dwa dni chodził w glorii Anglika, złożył nawet wizytę w domu dziewczyny, ale na ulicy zaczepił go kolega z - Krowodrzy i wrzasnął: „cześć Józek"! W ślad za okrzykiem rozległ się siarczysty policzek, który wycięła chłopcu amatorka Anglików, ale nie z Krowodrzy. Nie należy zawodzić zaufania kobiet! Choć z drugiej strony, ani rusz nie mogę zrozumieć, dlaczego „John" ma być lepszym od „Józka" — tym bardziej, że Angielki wolą raczej „Józków". Kto tam zresztą pojmie kobiety!

Połowa sierpnia, sezon słomianych wdowców i wdów, kiszonych ogórków i sałatki pomidorowej. Doskonała pora na węże morskie i bagienne, na smoki i wampiry, na latające talerze takoż, trochę gorsza na wystawy plastyczne. Tymczasem w Pawilonie Wystawowym BWA eksponują swoje prace plastycy rzeszowscy: Kotowicz, Ostrowski, Stroński i Ziemski. Wystawa interesująca, nie ekstrawagancka w złym stylu, słowem, jest na co popatrzeć. Z katalogu jednego z plastyków przepisuję słowa, które mogą być mottem wystawy: „Nie chcemy być nowoczesnymi, lecz szczerymi, a szczerość to właśnie nowoczesność". Podpisuję się pod tym sformułowaniem obiema rękami, szkoda tylko, że właśnie w sierpniu ta wystawa, przy minimalnej frekwencji. Jedyną pociechą plastyków rzeszowskich i ich zakopiańskich kolegów oraz fotografików rumuńskich, którzy jednocześnie eksponują swoje prace w Pawilonie jest to, że będzie ona czynna przez cały miesiąc, czyli do początków września. A pod koniec sierpnia frekwencja w salach wystawowych wzrasta.

Do Pałacu Sztuki TPSP dla odmiany zawitały ludowe artystki z Zalipia — Felicja Curyło wraz z Janiną Lizakową i Martą Wojtyto. Na niewielkich tekturkach malują swoje przepiękne kwiaty i sprzedają je na miejscu. Grupka ludzi zbiera się szczególnie wokół najmłodszej artystki, wnuczki Wojtytowej... sztuka „in statu nascendi" ma zawsze największe powodzenie, dużą rolę odgrywa tutaj ludzka skłonność do podpatrywania, do niedyskrecji. Choć w tym przypadku niedyskrecja nie ma w sobie nic złego, jest zjawiskiem jak najbardziej pozytywnym.

Ostatni to kiermasz malowanek zalipiańskich w tym roku. Było ich trzy i wszystkie cieszyły się ogromnym powodzeniem.

Wypadałoby coś jeszcze o gościach w Krakowie, ale tutaj należałoby sporządzić obszerną listę i wyliczyć bez komentarzy, gdyż na komentarz nie starczyłoby miejsca. Nie jest to przede wszystkim sezon gości oficjalnych, przyjeżdżają raczej ludzie prywatni, sporo architektów, artystów, pisarzy — urok miasta przyciąga ludzi sztuki do Krakowa, choć krakowianie z równą chęcią opuszczają swoje miasto, udając się za granicę. Miasto zresztą wzbogaciło się ostatnio o międzynarodowe połączenia. Bezpośrednie autobusy z Krakowa kursują do Budapesztu, Wiednia i Popradu w CSRS. Via Kraków jedzie również autobus z Katowic do Rijeki w Jugosławii, a poza tym jest bezpośredni samolot do Kopenhagi.

Największą frekwencją cieszy się autobus do Budapesztu i do Rijeki. Z pełnymi kompletami odlatuje samolot do Kopenhagi. Gorzej z autobusem do Wiednia, w którym gość trafia się równie rzadko, jak czterolistna koniczynka na łące, przeciętnie jeżdżą tym autokarem 1—2 osoby, a rekordem absolutnym był zespół 10 pasażerów. No, ale za autobus płaci się szylingami... stąd kłopoty z frekwencją. Bodaj to za złotówki, bodaj bez paszportów — sam bym pojechał na „weekend" do Wiednia. Ma się te Franz-Josephowe tęsknoty, panie dzieju!

JERZY WALAWSKI

O ISTOCIE ŻYCIA. KiW, s. 595, cena zł 50.

Przełożona przez Andrzeja Bednarczyka z języka rosyjskiego praca zajmuje się stosunkami między biologiczną a fizyczną i chemiczną formą ruchu materii. Bada metody fizyki, chemii i cybernetyki, stosowane przy badaniu życia. Próbuje odpowiedzieć na pytanie, czy na innych planetach istnieje życie.

Gianni Rodari: NAJMNIEJSZA HISTORIA LUDZKOŚCI. Przeł. Marian Rogoziński. Iskry, s. 183, cena zł 10.

Włoski autor książek dla dzieci i młodzieży posługując się formą gawędy stworzył nowy podręcznik historii powszechnej, uwzględniając najważniejsze wydarzenia w dziejach ludzkości. Układ chronologiczny.

Kazimierz Krzos: Z KSIĘCIEM JÓZEFEM W GALICJI W 1809 ROKU. MON, s. 308, cena zł 25.

Omówienie wojny narodowowyzwoleńczej prowadzonej przez Polaków w roku 1809 na terenie Galicji. Książka wyjaśnia zasady tymczasowej administracji polskiej tworzonej na wyzwolonych terenach oraz wkład galicyjskiego społeczeństwa w zwycięstwo roku z 1809. Ten wycinek z epoki napoleońskiej przedstawiono na tle polityki międzynarodowej.

Karol Koźmiński: KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI 1763—1813. MON, s. 183, cena zł 8.

Książeczka z popularnej serii: „Kampanie, dowódcy, bitwy". Na tle ówczesnych wydarzeń historycznych ukazuje biografię Księcia Józefa od walki pod Sabaczem do Elstery.

Zdzisław S. Pietras: OBRONA NIEMCZY 1017. MON, s. 157, cena zł 8.

W tejże popularnej serii historia grodu słowiańskiego — dawnej strażnicy plemienia Ślęzan. Ukazany tu został fragment wielowiekowych zmagań Słowian z Niemcami.

Paul Herman: SIÓDMA MINĘŁA, ÓSMA PRZEMIJA... Przygody najwcześniejszych odkryć. Przeł. K. Rapaczyński. PIW, s. 506, cena zł 60.

Bardzo ciekawa książka o historii podróży i odkryć geograficznych przed Kolumbem. Znajdziemy tu opisy pradawnych wypraw faraonów, Fenicjan, Greków, Rzymian, Wikingów i innych.

Bolesław Drobner: BEZUSTANNA WALKA. T. 3. PIW, s. 215, cena zł 20.

Na kolejny tom pamiętników złożyły się wspomnienia z lat 1936—1944. Dostarczają one materiału do historii polskiego ruchu robotniczego w ostatnich latach przed wybuchem wojny oraz w czasie jej trwania.

DOWÓDZTWO GŁÓWNE GL I AL. Zbiór dokumentów z lat 1942—1944. Rozkazy. Instrukcje. Regulaminy. MON, s. 427, cena zł 35.

W serii „Wojna Wyzwoleńcza Narodu Polskiego" pozycja wydana dla uczczenia 25 rocznicy powstania PPR i GL.

Tadeusz Płużański: MARKSIZM A FENOMEN TEILHARDA. KiW, s. 311, cena zł 32.

Jest to rezultat kilkuletnich wysiłków zmierzających do zinterpretowania z marksistowskiego punktu widzenia dzieła francuskiego jezuity, paleontologa i filozofa, jednego z najgłośniejszych dziś pisarzy filozoficznych świata — Piotra Teilharda de Chardin.

PODZIAŁ PRACY W SOCJALIZMIE. Z doświadczeń i dyskusji radzieckich. Wybór i przedm. J. Danecki. KiW, s. 445, cena zł 30.

Pozycja obejmuje m. in. zagadnienia postępu technicznego, ewolucji pracy robotnika przemysłowego, normowania, wpływu wykształcenia na wyniki pracy, wolnego czasu itp. w ujęciu ekonomicznym i humanistycznym.

J. Kleer, J. Zawadzki, J. Górski: SOCJALIZM — KAPITALIZM. Aktualne problemy ekonomiczne. KiW, s .128, cena zł 6.

Jerzy Harasymowicz: WYBÓR WIERSZY. Czytelnik, s. 342, cena zł 25.

Dobrym uzupełnieniem wyboru utworów tego poety lirycznego jest gustowne opracowanie graficzne, którego autorem jest Andrzej Heidrich.

Włodzimierz Słobodnik: RÓŻA ŚWIATŁA. PIW, s. 139, cena zł 10.

Tak! To już 21 tomik poetycki autora, który debiutował w roku 1937 zbiorem wierszy „Modlitwa o słowo". Liryka.

Sergiusz Jesienin: POEZJE. Wybór i wstęp: Z. Fedecki. PIW, s. 275, cena zł 20. Żółta Biblioteczka.

Urodzony w 1895 roku, zmarły śmiercią tragiczną ten poeta liryczny jest jednym z najchętniej czytanych nie tylko w ZSRR.

Eugeniusz Paukszta: ICH TRZECH I DZIEWCZYNA. Iskry, s. 176, cena zł 13.

Kołobrzeg. Lato. Trzech przyjaciół i dziewczyna. Do tego próba wywozu ikon i włamanie. Lektura na lato.

Józef Hen: OPÓR. Czytelnik, s. 241, cena 14 zł.

Przed rokiem to samo wydawnictwo wypuściło na rynek księgarski powieść „Przed wielką pauzą", której bohaterem jest Bożek Bergen. „Opór" jest drugą częścią tego cyklu powieściowego. Tym razem okres tragicznego września widziany oczyma bohatera cyklu.

Józef Prutkowski: NA MIEJSCA GOTOWI... MON, s. 56, cena 15 zł. Ilustracje Maja Berezowska.

Najlepszy poeta pośród sportowców... i odwrotnie. Mówią złośliwi. Ale są to dobre wiersze.

Mieczysław Birecki: ZIEMNIAKI. Wyd. III popr. i uzup. PWRiL, s. 570, cena zł 80.

Tony Saulnier: PAPUASI. Tłum. Z. Bieńkowski. Iskry. s. 214, cena 17 zł.

Frapująca przygoda kilku Francuzów, którzy wybrali się do Nowej Gwinei i tam spotkali papuaskie plemiona, których tryb życia został niezmieniony od czasów prehistorycznych. Spotkali też łowców głów... Ciekawe fotogramy autora, który przeżył w prehistorii 167 dni.

Hubert Fichte: SIEROCINIEC. Przeł. E. Werfel. Czytelnik, s. 180, cena 10 zł.

Jest to debiut powieściowy niemieckiego autora, urodzonego w 1935 roku w Hamburgu. Debiut udany, bo utwór został nagrodzony. Akcja rozgrywa się w Niemczech hitlerowskich, a bohaterem książki jest dziecko Niemki i Żyda. A co to w tych czasach oznaczało... wiemy.

Dom Léger-Marie Deschamps: PRAWDZIWY SYSTEM, CZYLI ROZWIĄZANIE ZAGADKI METAFIZYKI I MORALNOŚCI. Wstęp i przypisy B. Baczko. KiW. s. 444, cena 50 zł.

Myśli francuskiego utopijnego komunisty.

Henryk Walecki: WYBÓR PISM. T I (1905—1918), T II (1918—1937). KiW. s. 470 i 446, cena I/II 100 zł.

Autor był uczestnikiem i działaczem międzynarodowego ruchu robotniczego, działaczem KPP i Międzynarodówki Komunistycznej.

CZYTELNIK ZAPOWIADA

W najbliższych dniach na półkach księgarskich znajdzie się kilka interesujących nowości „Czytelnika". W serii „Nike" wyjdzie „Droga przez mękę" Aleksego Tołstoja. Jest to edycja przygotowana z okazji 50-lecia Rewolucji Październikowej. Kolejnymi pozycjami „Czytelnika" przygotowanymi w związku z 50 rocznicą Rewolucji Październikowej będą — ozdobne wydanie wyboru poezji Włodzimierza Majakowskiego pt. „Wam" i antologia poezji rewolucyjnej, „Sierp i młot niepodległy", obejmująca najpiękniejsze wiersze rewolucyjne polskie, narodów Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych.

Również w serii „Nike" ukaże się „Od portu do portu" Blaise Cendrarsa. Ze współczesnej prasy polskiej otrzymamy wkrótce: „Opowiadania wybrane" Józefa Hena (w serii „Głowy wawelskie") i tego samego autora „Opór" — drugi tom cyklu powieściowego „Teatr Heroda". Ukaże się też nowy tom opowiadań Marka Nowakowskiego pt. „Gonitwa". Najbliższe dni przyniosą również „Wybór wierszy" Jerzego Harasymowicza. Publicystykę i reportaże reprezentować będą „Republika Federalna — scena i kulisy" Henryka Kassyanowicza i „Ocean nie bardzo Spokojny" Lucjana Wolanowskiego.

Dalsze zapowiedzi „Czytelnika", to m. in. wspomnienia Ludwika Sempolińskiego „Wielcy artyści małych scen", powieść fantastyczno-utopijna Antoniego Słonimskiego „Torpeda czasu", wydana po raz pierwszy w 1923 r., powieść Marii Kuncewiczowej „Tristan 1946" oraz poemat „Koncert na głos kobiecy" J. Niemojewskiego.

W serii utworów satyrycznych otrzymamy „Party u Kierdziołka" Jerzego Ofierskiego.

Ze wznowień ukażą się m. in. „Ostatnia z rodu" Pawła Jasienicy, „Rdza" Wilhelma Macha (w serii „Głowy wawelskie") oraz „Troska i pieśń" Władysława Broniewskiego.

Z przekładowej literatury sensacyjnej wyjdzie — w serii „Z jamnikiem" — „Morderstwo przed teatrem" J. Teya.

„Czytelnik" zapowiada też wznowienie „Cichego Donu" Michała Szołochowa oraz powieść Tomasza Manna „Józef i jego bracia".

Zapowiedzi dla młodych czytelników, to m. in. „Życie wielkiej rzeki" Wiktora Ostrowskiego i „Słońce Arizony" Wiesława Wernica, a dla najmłodszych — „Jaś i Małgosia" Jana Brzechwy — pierwsze wydanie pośmiertne.

NA WPROST

O tych, co wiedzą lepiej

Jeśli w jakimś towarzystwie powiesz, iż urodziłeś się w sierpniu we wtorek po południu, on poprawi cię natychmiast: — przepraszam, to było w środę rano... Od razu będzie wiadomo, że to ten, co wie lepiej. Jest dokładniej poinformowany o przyczynach II wojny światowej i o tym, dlaczego rozeszło się małżeństwo z sąsiedniej ulicy. Wie lepiej niż Ty jaka będzie pogoda, i o wiele precyzyjniej o kulisach przewrotu w Ghanie. On ma ostatnie słowo w rozmowie o obozowych wydaniach znaczków pocztowych, o malarstwie prerafaelitów i o leczeniu kataru. Jeśli jesteś filatelistą, historykiem sztuki lub lekarzem, tym gorzej dla ciebie. W obliczu besserwissera zdradzisz jedynie żałosny poziom swej wiedzy zawodowej. Bo przecież dla niego nie jest żadnym argumentem, iż studiowałeś 5 lat jakąś dziedzinę nauki — on za to jest w stanie łaski i po prostu dlatego wie lepiej.

Jest ich pełno w naszym życiu publicznym, towarzyskim, biurowym czy rodzinnym i dzielą się na różne odmiany.

Czasem muszą od nas wszystko wiedzieć lepiej, gdyż są naszymi przełożonymi. Sądzą, że ich autorytet rozsypałby się w gruzy, gdyby mieli kiedykolwiek w obliczu podwładnych powiedzieć: — ja się na tym nie znam, lub stwierdzić — Pan ma rację!

Inni tą metodą chcą błyszczeć w towarzystwie, chcą zdobyć opinię tęgich głów, czy wreszcie działają z premedytacją, by kogoś upokorzyć. Nieliczni wiedzą lepiej zupełnie bezinteresownie — ot takie mają hobby.

Można ich poznać po sposobie włączania się w rozmowę i prostowania fałszywych sądów oraz merytorycznych nieścisłości. — Pan się myli drogi kolego — przepraszam Cię bardzo, ale sprawa wyglądała zupełnie inaczej. — E, co ty tam możesz wiedzieć na ten temat — lub — pozwolę sobie zauważyć, iż pańskie informacje są niezupełnie dokładne. Te hasła wywoławcze besserwisserów pomagają nam w ich klasyfikacji.

Najdoskonalszym przykładem bezinteresownego — „wiedzącego lepiej" był dla mnie jeden staruszek ze sceny zaobserwowanej na dworcu. Siedział na ławce i popijał piwo, tęgo zresztą już nim zamroczony. Obok siedzieli młodzi chłopcy także z kuflami w ręku przekomarzający się w sposób dość obcesowy z dziewczynami z sąsiedniej ławki i z dziadkiem. Niestropiony dziadek mamrotał pod nosem: E, co wy tam młodzi wiecie. W czternastym roku jakeśmy szli na kozaków panie dziejku... jak na nas skoczą z szablami, ...a my łubudu z moździerzy... a oni z koni, z koni w piach... a pan leutnant krzyczy — feuer chłopaki krucyhimmelsgott... a kozacy nam, panie dziejku... co wy tam młodzi wiecie! — Widzieliście dziadku kozaków, ale wtedy jakeśce grzybki zbierali w lesie — odcinali się podpici młodzieńcy... — E, co tam wiecie młodzi... jakeśmy szli na kozaków...

On chyba istotnie wiedział lepiej i nie usiłował wyciągnąć stąd dla siebie korzyści. Spośród innych rodzajów wyróżniają się działający na chama, bez podstaw naukowych — biorący górę tupetem i krzykiem; oraz uczciwi, uczący się nocami na pamięć słowników i encyklopedii, by istotnie wszystko wiedzieć lepiej.

Nie będę odkrywcą, gdy stwierdzę, że ta postawa życiowa wywodzi się z kompleksu niższości, że w gruncie rzeczy oni wiedzą najlepiej, iż są nieszczęśliwi i zagubieni w świecie. Ale to nie wystarcza jako usprawiedliwienie. Są zbyt uciążliwi we współżyciu. Gdy jeden taki znajdzie się w naszym towarzystwie, czerwone plamy zaczynają nam biegać przed źrenicami, oddech nasz staje się urywany, a ręce kurczowo zaciskają się na ciężkiej popielniczce. Ale nie radzę... bo gdy go trzepniecie we wszechwiedzący łeb i padnie trupem, co mu się słusznie należy, i gdy zaczniecie składać zeznanie milicji przybyłej na miejsce zabójstwa, na pewno się podniesie i sprostuje kilka nieścisłości.

JOTGIEL

Danuta Lipińska — instruktor oświaty WDK w Rzeszowie
Rys. J. SIENKIEWICZ

Kalman Segal

NIEDZIELNE WCZASY

W niedzielę zbudziłem żonę o wschodzie słońca i powiedziałem:

—Ubierz się, kochanie, pojedziemy na łono przyrody.

Ubrała się i szybko pobiegliśmy na dworzec. Jechaliśmy autobusem. Jak tylko wyjechaliśmy za miasto — czary.

— Helenko — mówię do żony. — Czujesz? Ile tu powietrza!

— Czuję... — dąsa się Helenka. — Czuję, że krew mnie zalewa. Ktoś mnie bez przerwy po nogach łaskocze i nie wiem kto to robi, bo w tym tłoku człowiek nawet własnej ręki nie rozpozna.

To prawda, ścisk był wielki, ale na to nie ma rady. Niedzielne wczasy to zdobycz powszechna i każdy ma prawo. Po dwóch godzinach wylądowaliśmy w Łączkach Dolnych. Kiedy wysiedliśmy z autobusu, ująłem żonę pod ramię i powiadam:

— Widzisz te góry? To właśnie jest piękno ziemi ojczystej.

— Widzę, że mam całą suknię pomiętą — mówi Helenka. — Wszystkie baby się na mnie patrzą.

— Nie szkodzi — pocieszam ją. — Pójdziemy na plażę i będziemy się opalać.

Poszliśmy nad rzeczkę, ludzi tam było mrowie, ale jakoś udało nam się znaleźć dwa wolne miejsca, akurat w sąsiedztwie kilku młodych dziewcząt.

— Gdzie ty patrzysz? — trąciła mnie Helenka. — Na mnie patrz!

— Patrzę na łono przyrody — powiedziałem rumieniąc się lekko.

— Przecież widzę, że patrzysz na te lafiryndy — oburzyła się Helenka. — Chodźmy lepiej na obiad, bo już jest południe i ani mi się śni umierać z głodu.

Ubraliśmy się i poszliśmy na obiad. Ale w gospodzie wszystkie stoliki były zajęte. Stanęliśmy w kolejce i zaczęliśmy czekać. Po godzinie udało nam się dostać jedno miejsce dla Helenki. Zamówiłem dla niej kotlet, a sam pobiegłem do Orbisu po bilety powrotne. Tu także była już dość duża kolejka, ale po godzinie miałem bilety w kieszeni.

Pobiegłem do gospody po Helenkę. Siedziała w tym samym miejscu dogryzając swoje wieprzowe danie. Obok niej siedzieli jacyś dwaj panowie.

— Pośpiesz się, kochanie — powiadam — bo za pół godziny autobus odjeżdża. Dobrze by było wcześniej zająć miejsca.

A ona popatrzyła na mnie tak jakoś dziwnie i powiada:

— Nie mam siły pchać się do tych cholernych autobusów. Wrócę do miasta z tymi panami. Panowie mają taksówkę i wezmą mnie. Zobaczymy się w domu. A jakbyś przyjechał pierwszy, to przygrzej dla mnie kolację.

Pojechałem więc do domu sam i przez okno autobusu oglądałem zachód słońca w górach. Bardzo mi się to podobało, ale trochę byłem przygnębiony, bo od rana nie miałem niczego w ustach i nawet piwa nie miałem czasu się napić, a upał był taki, że wszystko się we mnie topiło.

Wróciłem do domu o zmierzchu. Helenki jeszcze nie było. Przyszła dopiero koło północy.

— Spóźniłam się — powiada — bo szoferowi kicha nawaliła.

—Dobrze, dobrze... — odparłem. — Chodź już spać.

— A jednak to piękna rzecz, te niedzielne wczasy... — szepnęła Helenka i zgasiła światło.

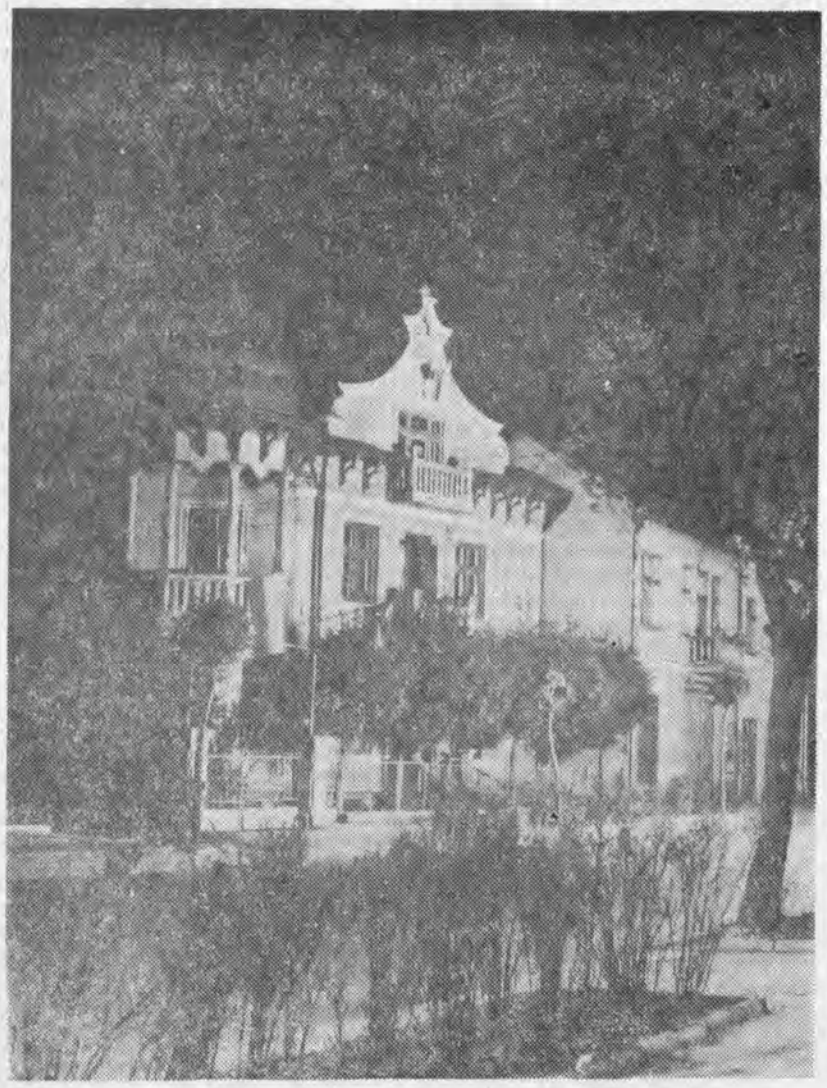

Dzielnica willowa przy ul. Kościuszki w Mielcu.

Fot. Z. KORPANTY

Zdarzenia tygodnia

Krajowy Komitet Organizacyjny zaprosił do udziału w zorganizowanym dla uczczenia 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej Ogólnopolskim Przeglądzie Amatorskich Teatrów Poezji, Teatr Poezji Garnizonowego Klubu Oficerskiego w Rzeszowie. Zespół ten, jak wiadomo, w przeglądzie wojewódzkim zajął III miejsce za program zatytułowany „Księga o żołnierzu, czyli przygoda Wasyla Tiorkina", według A. Twardowskiego, w reżyserii E. Buchelta.

* * *

W czwartek, tj. 17 bm. zakończył się zorganizowany w pow. mieleckim, przez Dział Etnograficzny Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, obóz naukowych badań etnograficznych. Uczestniczyło w nim 24 pracowników naukowych Muzeum i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza z Poznania, którzy pod kierownictwem doc. Franciszka Kotuli przebadali m. in. wsie: Rzędzianowice, Czermin, Gawłuszowice, Sadkową Górę, Tuszów Narodowy i Chorzelów.

Warto nadmienić, że w czasie trwania obozu, tj. od 4 bm., przebywającym w terenie etnografom, pomocy organizacyjnej udzielał Wydział Kultury Prez. PRN w Mielcu.

* * *

W ubiegłą sobotę i niedzielę w Lesku i Bukowcu wystąpiły zespoły kapeli ludowej WDK i zespół Studium Wojskowego Wyższej Szkoły Rolniczej z Krakowa.

W Lesku koncert odbył się w muszli koncertowej w parku, dla uczestników kolonii letniej, a w Bukowcu dla przebywających w Bieszczadach żołnierzy WOWewn. i miejscowej ludności.

* * *

W Przeworsku ukonstytuował się komitet redakcyjny, opracowywanej monografii miasta. Przewodniczącym został mgr Antoni Kunysz, dyr. Muzeum w Przemyślu, a sekretarzem Józef Bębenek. Poszczególne części monografii opracowuje zespół autorów. Wydawnictwo obejmie wszystkie dziedziny życia Przeworska z jego przeszło 700-letniej historii, do czasów najnowszych włącznie.

* * *

W Ropie, Brunarach, Krygu, Zagórzanach i Wojtkowej, wioskach powiatu gorlickiego odbyły się koncerty laureatów II Powiatowego Festiwalu Piosenki „Łużna 67". W spotkaniach zatytułowanych „Rozśpiewani rówieśnicy" wzięły udział zespoły muzyczne „Kolorowe gitary" z Uścia Gorlickiego, „Pogórzanie" z Łużnej, soliści i zespoły wokalne. Organizatorem imprez jest Zarząd Powiatowy ZMW w Gorlicach.

* * *

Dział Archeologiczny Muzeum Okręgowego rozpoczął we wtorek, 15 bm. prace wykopaliskowe w rejonie dzielnicy Rzeszowa-Pobitno. Szczegółowe prace badawcze w tej dzielnicy miasta rozpoczęto w związku z licznymi znaleziskami ceramicznymi. Warto również nadmienić, że przed laty na tym terenie znaleziono skarb monet.

WIDNOKRĄG odpowiada

Z. Ł. Jedlicze: Pisze Pani: „Miłość znana jest od wieków, od stworzenia świata // Kiedy złączyła dwoje obcych ludzi... // Teraz nadal żyje, nadal serca brata // I nieznane uczucia w nich budzi". I kto by przypuszczał, że tak jest, gdyby Pani w wierszu tego nie stwierdziła. Czy Pani sądzi, że w poezji chodzi o takie „odkrycia"? Albo takie: „Niebo usiane gwiazdami // ...Przestrzeń ciemna, czarna, daleka // Tajemnice posiada wielkie // nie zbadane dokładnie przez człowieka"... Po cóż o tym pisać i to jeszcze wierszem, skoro nawet dziecko o tym wie.

„Doduś": Skoro grozi nam Pan, że nasze opinie nie wpłyną na to czy Pan się załamie, czy nie i że niezależnie od wszystkiego będzie dalej pisał, nie ma sensu Pana zniechęcać. W wierszach coś jest, chyba sporo kultury i wyobraźni, ale niektóre z nich grzeszą nadmiarem udziwnień. Naprawdę nie wiemy, co to znaczy: „Weszliśmy z Emilianem w ciasny nurt ulicy // bezprzykładnie odrębni w stopniach szamotania // kiedy Emilian cicho pokręcił spotkania..." itd. Nie tędy droga. „Łysy księżyc" i „chichot żab", to znów zwykłe banały. Jak Pan musi, proszę kontynuować próby.

J.P. Wojsław: Opowiadanie folklorystyczne nie ma nic wspólnego z folklorem podhalańskim, a kawały istotnie stare i nudnawe. Nie skorzystamy.

Eska — Bachórz: Wiersz „Ku tamtym latom", mimo szlachetnej intencji autora, nie zasługuje na publikację. Jest deklaratywny, trochę katarynkowy i pełen utartych sloganów, haseł i zawołań np. „krwawe żniwa", „płomień buntu, wir walki, wolności ptak, bratni sojusz" itd. To jest słownictwo mówców wiecowych a nie poezji.

„Kornet": Przesyła Pan utwór „Już późno" i pisze, że „ma to być piosenka". Ma być, ale nie jest. Któż to będzie śpiewał: „Tak ty zabrałeś mi złudzenie chwil, które tobie chciałem dać, dać, dać..." albo „...odszedłeś już, ja to wiem, wiem, wiem..." Wiemy, że nie warto liczyć na sukcesy w piosenkarstwie.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2051, 2057 — wewn. 196. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.